Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 10 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY

Rok IV | Łódź, 11 maja 1947 | Nr 19 (98)

Instytu Bałtycki
Dział Biblioteczny
Bydgoszcz Al. 1 Maja 48
Biblioteka
CW 9037

Piotr Greniuk

Celem – postępowe środowisko rolnicze

Drobna liczba przedwojennych szkół rolniczych (138 — 4000 absolwentów) nie zdołała przestawić konserwatywnych metod gospodarki na nowe tory i mimo pewnych usiłowań zmierzających do spopularyzowania wiedzy rolniczej na wsi nie dawała pozytywnych rezultatów.

Przyczyn ku temu było wiele. Podawał je prof. J. Mikułowski-Pomorski w artykule „Szkoły rolnicze i oświata rolnicza pozaszkolna" (Zagadnienia pracy kulturalnej rocznik II Warszawa 1936): „Nie trudno jest dopatrzeć się powodów, dla których drobni rolnicy nie garną się do szkół ludowych rolniczych tak, jakbyśmy tego pragnęli. Szkoła jest dla wielu za kosztowna. W domu dziecko zarabia na swe utrzymanie, w szkole trzeba za nie płacić. Korzyści zawodowe, które szkoła daje, szczególnie mężczyznom, nie uwidoczniają się tak prędko. Wprowadzenie pożytecznych reform w gospodarstwie rodzicielskim wymaga wielu zasadniczych inowacji, na które ojciec się nie godzi, obawiając się ryzyka".

Nie było w rolniczym społeczeństwie polskim sprzyjającej atmosfery na właściwe postawienie zagadnienia szkół rolniczych, w której absolwenci tych szkół mogliby wzrastać i skutecznie realizować zdobyte wiadomości. Owszem; była atmosfera zacofania, wstecznictwa, a tej nie przeciwstawiały się żadne czynniki odgórnie. Tolerowały żółwie dreptanie, choć to się mściło na gospodarce państwa.

W przemyśle istniał dodatek od podatku, przeznaczany na szkolnictwo zawodowe przemysłowe. W resorcie rolnictwa nie pokuszono się na to, bo obciążyłoby się w ten sposób większą własność, a ta z kolei nie chciała przykładać ręki do kształcenia chłopa, któremu do wegetacji wystarczały te ogólne „wiadomości", jakie zdobył w jednoklasowej szkole powszechnej i fachowe, jakich mu udzielił nieświadomy ojciec.

Błędem przedwojennych szkół było i to, że po ich skończeniu absolwent mógł iść zaledwie na **pisarza do dworu**, lub **„gospodarzyć" u ojca.** Nie otwierały one szerszych możliwości dla swoich wychowanków, co tak wyraźnie postawiło i już w części osiąga powojenne szkolnictwo rolnicze.

W roku 1944 było na oswobodzonym terytorium Polski 319 szkół rolniczych, a już w 1945 — 800. W szkołach tych uczy się ponad 24.300 uczniów, pracuje w nich 4.500 nauczycieli i instruktorów rolniczych.

Jest to niewątpliwie pokaźny dorobek Ministerstwa Rolnictwa i Ref. Roln. Departamentu Oświaty Rolniczej.

Oprócz przygotowania fachowych rolników dla własnych gospodarstw, dzisiejsze szkoły rolnicze kształcą **przyszłych nauczycieli i instruktorów szkół rolniczych, pracowników agronomii społecznej i kierowników do wszystkich działów gospodarczych w Związkach Samopomocy Chłopskiej, spółdzielczości** i to nie tylko na wsi, ale i w mieście,. nie mówiąc już o tym, że każdy uczeń szkoły rolniczej ma otwartą drogę do studiów wyższych, a więc i stanowisk dla kwalifikacji na tej drodze osiągniętych.

Szkoły rolnicze powojennej doby stają na równi z innymi szkołami zawodowymi, szkolącymi pracowników do pokrewnych resortów gospodarczych, nie zaniedbując równocześnie kształcenia ogólnego i obywatelskiego.

Na małą frekwencję szkoły rolnicze narzekają w dalszym ciągu, ale przyczyna tego leży **w bezrozumnej negacji do wszystkiego co postępowe i twórcze.** Chłop dzisiejszy również jak i przed wojną nieufnie podchodzi do **fachowych** zdobyczy syna czy córki, wychowanków szkoły rolniczej, wierząc bardziej zrutynizowanej i dalece zacofanej własnej umiejętności gospodarzenia.

Usilne zabiegi o zmianę tego stanu rzeczy tu i ówdzie dają pewne rezultaty, ale tempo tych zmian jest niezmiernie powolne i rozłożone na szereg lat.

Poważną trudność w organizacji gospodarki w szkołach rolniczych stanowi olbrzymia dewastacja ośrodków szkolnych, spowodowana działaniami wojennymi. Zniszczenia te wymagają wielkich nakładów finansowych, co z kolei pochłania niewspółmierne wydatki i nie pozwala uczynić ośrodki szkolne dochodowymi.

W tym stanie rzeczy szkoły rolnicze niepokoją sfery rządowe, które chciałyby widzieć je samowystarczalnymi Część szkół wyraźnie tę samodzielność gospodarczą już uzyskało i przy niewielkiej bodaj pomocy finansowej rządu zdolne będą funkcjonować należycie. W całości jednak stan ten szkoły rolnicze osiągnąć mogą dopiero za lat parę. Taki czas winno się im zostawić.

Te oto powody składają się między innymi również na małą frekwencję w szkołach rolniczych i gdybyśmy mieli więcej czasu w Polsce na oczekiwanie zmiany tego stanu rzeczy, pozwolilibyśmy na powolne docieranie do świadomości środowisk wiejskich wartości rolniczo-fachowych. Ale czekać nam nie wolno. Nie możemy.

Jakąż więc znaleźć na to radę, aby upowszechnić oświatę rolniczą i aby wieś zasilić należycie przygotowanym elementem zawodowo-rolniczym?

W cytowanym powyżej artykule prof. Mikułowski-Pomorski podkreślając bardzo mocno „olbrzymie potrzeby wsi, wielką liczbę jednostek, do których oświata rolnicza powinna docierać" wysuwa m. in. następujący postulat: **„Danie oświacie rolniczej pozaszkolnej takich podstaw ustrojowych, aby mogła działać planowo, według udoskonalonego programu, z kontrolą osiągniętych wyników"** (podkreślenie moje).

Prof. Mikułowski bardzo wyraźnie sugeruje tu myśl ujęcia pracy upowszechnienia oświaty rolniczej w ramy **ustawowe,** aby mogła działać planowo i skutecznie.

Dziwne, że mimo tych, a pewnie i wielu innych głosów, tak uparcie pozostawiano wieś w zapomnieniu?

W ustawodawstwie w tej dziedzinie zrobiono w okresie międzywojennym dwa kroki. Jedna z dnia 9 lipca 1920 roku, mocą której każdy powiat zobowiązany został zorganizować na swoim terenie jedną szkołę męską i jedną żeńską. Miało to dać w sumie 500 szkół, a było ich 183 zaledwie.

Druga ustawa z dnia 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa obejmowała szkolnictwo zawodowe, które miało „za zadanie przygotować wykwalifikowanych zawodowo pracowników dla życia gospodarczego przez teoretyczne i praktyczne kształcenie zawodowe z uwzględnieniem potrzebnego zakresu wykształcenia ogólnego oraz przez wychowanie społeczno-obywatelskie" (§ 24). Ustawa ta w odniesieniu do szkół rolniczych nie wniosła, niestety, nic nowego. Nie wpłynęła ona na ich wzrost, ani ustrój. Wniosła natomiast bardzo ciekawy system kształcenia zawodowego przez tzw. szkoły dokształcające; mówi o tym (§ 15) w następującym ujęciu:

1) Młodzież, która wypełni obowiązek szkolny, a nie uczęszcza do żadnej szkoły, podlega do 18 roku życia włącznie obowiązkowemu dokształcaniu.

2) Zadaniem dokształcania jest pogłębienie indywidualnego i społeczno-obywatelskiego wychowania młodzieży, oraz rozszerzenie ogólnego wykształcenia do potrzeb życia gospodarczego i zawodów, w których młodzież pracuje.

3) Dokształcanie odbywa się bądź w szkołach i na kursach dokształcających ogólnych, bądź w szkołach dokształcających zawodowych.

Ten punkt ustawy dawał poważne możliwości dokształcania zawodowego młodzieży i szerokie rzesze młodych uczniów rzemiosła skorzystały z tego, zdobywając w szkołach dokształcających „niezbędne wiadomości zawodowe, teoretyczne i pogłębianie wykształcenia praktycznego otrzymywanego w warsztacie pracy zarobkowej".

Ale, niestety — wieś pozostawiono nadal w stanie bezruchu, wyczekiwania.

Obowiązku dokształcania zawodowego na młodzież rolniczą, wiejską, nie rozciągnięto, wyrządzając wsi w ten sposób po raz nie wiem już który wyraźną krzywdę. Sprawa pozostała nadal otwartą.

A wieś dziś musi się podnieść gospodarczo. Na pola mają wyjść traktory i rola winna być obsiana wysoce dochodowymi roślinami, maszyny stać się codziennym pomocnikiem rolnika. Elektryczność użyta do ułatwienia wielu prac na wsi. Książka, gazeta, radio, dyskusje w gronie świetlicowym, sport, przysposobienie wojskowe — oto pole szerokiego działania dla wyrobienia zawodowego i społeczno-obywatelskiego.

Jak do tego dojść? Jakimi drogami? Czy jedynie przez szkoły rolnicze? Należałoby znaleźć inny, bardziej skuteczny sposób umasowienia, upowszechnienia tych niezmiernie żywotnych haseł i zadań, przed którymi stoi dzisiejsze rolnicze społeczeństwo wsi.

Wysuwają niektórzy powątpiewanie, że przez masowe szkolenie spłyci się wiedzę rolniczą w wielu dziedzinach. Przypuśćmy, że tak. Ale jakie były dzieje uczniów ze Szkół Rolniczych? Uczniowie opuszczający szkoły rolnicze napotykali na opór ze strony nieświadomego tych spraw i zagadnień społeczeństwa. Czas jakiś jeszcze starali się zwalczać zacofanie i prymityw w gospodarstwach rodzicielskich i sąsiadów, ale po pewnym czasie, nie widząc rezultatów swej pracy zniechęcali się, załamywali, wpadali nierzadko w powrotny analfabetyzm zawodowy i rezultaty ich pracy były minimalne, a nawet żadne.

Zupełnie inaczej przedstawiać się będzie ich akcja w atmosferze sprzyjającej dla rozwinięcia i zrozumienia potrzeb nauki rolnictwa, co ma miejsce właśnie w środowisku, gdzie zagadnieniami oświaty **interesują się wszyscy,** gdzie zadania stawiane rolnictwu są przepracowane **przez większe zespoły** ludzi światłych i wtedy każda, nawet rewolucyjna inicjatywa spotka się ze zrozumieniem, osądem należytym i fachowym i znajdzie takie czy inne w danym środowisku nastawienie.

Absolwenci szkół rolniczych, a nawet i innych szkół, instruktorzy rolni, nauczyciele, wtedy dopiero w pełni mogą być wykorzystani, kiedy otoczenie docenia należycie współpracę **czynnika zawodowo kwalifikowanego,** wspomaga inicjowane przez niego zamierzenia, przyczynia się do mocnego ich zakorzenienia się w środowisku i rokuje pozytywne osiągnięcia ku pożytkowi osobistemu i otoczenia.

Te względy m. in. skłoniły Ministra Dąb-Kocioła do podjęcia szerokich zamierzeń w kierunku upowszechnienia oświaty rolniczej i za podstawę wyjściową przyjęcia **zespołów przysposobienia rolniczego.**

Zrozumiałą jest rzeczą, że prócz wyrobienia rolniczo - fachowego rolnik polski musi być uspołeczniony, musi rozumieć wagę i korzyści **działania zbiorowego, grupowego, spółdzielczego.** Musi w sobie rozwinąć te dyspozycje, na których oprze się jego czynna postawa do współczesnej rzeczywistości polskiej, do przeprowadzonych reform społecznych, gospodarczych i politycznych, musi wyrobić w sobie zrozumienie ich znaczenia dla utrwalenia naszej niepodległości i siły materialnej.

Z tych trosk o dobro wsi i młodzieży wiejskiej zrodziła się potrzeba powołania do życia w środowiskach wiejskich zespołów przysposobienia rolniczego i przysposobienia wojskowego — zarówno chłopców, jak i dziewcząt od lat 16.

Przysposobienie rolniczo-wojskowe opiera się o artykuł 15 ustawy z dnia 11 marca 1932 roku o ustroju szkolnictwa (Dz. U. R. P. Nr 38 poz. 389) oraz dekret z dnia 16 stycznia 1946 roku o powszechnym obowiązku wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego (Dz. U. R. P. Nr 31 poz. 195). Zarządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Ministra Obrony Narodowej z dnia 14 marca 1947 roku w sprawie powołania organów przysposobienia rolniczego i wojskowego młodzieży wiejskiej brzmi:

§ 1. Celem upowszechnienia i usprawnienia przysposobienia rolniczego oraz wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży wiejskiej, łączy się te akcje i wprowadza się powszechne przysposobienie rolnicze i wojskowe (w skrócie P. R. W.) dla młodzieży wiejskiej obojga płci od lat 16.

Zadaniem przysposobienia rolniczego i wojskowego jest:

a) podniesienie poziomu gospodarczego wsi przez powszechne kształcenie zawodowe młodzieży wiejskiej;

b) wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe młodzieży wiejskiej, a także zapewnienie wychowania społeczno - obywatelskiego tej młodzieży dla wyszkolenia przyszłego wzorowego żołnierza demokraty.

§ 2. W zarządzie centralnym Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych tworzy się dla spraw przysposobienia rolniczego i wojskowego młodzieży wiejskiej Wydział Przysposobienia Rolniczego i Wojskowego (P. R. W.).

Na czele Wydziału P. R. W. stoi Naczelnik Wydziału, oraz jego zastępca Główny Inspektor P. R. W., powołany przez Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych w porozumieniu z Ministrem Obrony Narodowej.

Jak wynika z przytoczonego powyżej fragmentu zarządzenia do spraw szkoleniowych młodzieży wiejskiej zorganizowanej w PRW prócz czynnika rolniczego staje wojsko, niosąc młodzieży swoją wiedzę w odniesieniu do spraw przysposobienia fizycznego, wojskowego i społeczno-obywatelskiego.

Młodzież chłopska ma świeżą, żywą i mocną tradycję udziału w walce z okupantem — w Batalionach Chłopskich, w Armii Ludowej i Armii Krajowej. Tej tradycji wojskowej nie można marnować. Ma ona prawo do włączenia się w Wojsko Polskie i w jego bieżącym, nieprzerwanym życiu budować dalszy swój ciąg, nowe dzieje.

Okupant wywołał powszechną mobilizację młodego pokolenia chłopskiego do walki o wolność ojczyzny. Dziś idzie o jej byt, o awans materialny i społeczny warstwy chłopskiej, ważny nie mniej dla Polski Ludowej, niż dla rozwoju wsi. Raz zbudowane pogotowie sił młodzieży może i powinno być utrzymane w okresie odbudowy i przebudowy Polski.

— Wojsko Polskie tworzy nową tradycję. Znamy ją od pierwszych dni niepodległości, zna ją w pierwszym rzędzie wieś. W miejsce sławnych przedwrześniowych „pacyfikacji" — masowa robota w polu. Udział wojska w zasiewach i żniwach stanowi jeden z większych rozdziałów walki o chleb w Polsce pierwszych lat powojennych. Taki powrót wojska, złożonego w większości z synów chłopskich, na wieś ma nowy sens społeczny. Poborowi przed wojną osiągali „ogładę", która ich czyniła nie postępowymi chłopami, a „wysferzeńcami", z najgorszej strony prezentującymi wartości miasta i kultury narodowej na wsi. Równocześnie w stosunku do „panów" wzmacniała poczucie przedziału społecznego. Tu uzyskiwali pozycję „lubianych ordynansów", na wsi — zarozumiałych arogantów. W nowym Wojsku Polskim poborowi mają wyrosnąć na działaczy społecznych, wsi potrzebnych. Wzmacnia się w nich poczucie godności i społecznej wartości: zastępy oficerów — chłopów i robotników tworzą nową atmosferę ich pewności i ważności.

ciąg dalszy na str. 2-giej

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO
D m 27 05

Wacław Szymanowski

Dla kogo wyższe studia?*)

JAK TO JEST W AMERYCE?

Omawiając sprawy szkolnictwa wyższego poza granicami Polski ograniczę się tylko do szkolnictwa w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Czynię to z tego powodu, że kraj ten znam najlepiej, spędziwszy tam na różnych stanowiskach z przerwami około 12 lat życia.

Jak wiadomo Ameryka Północna rozwijała się innymi drogami niż Europa. Jest to olbrzymi kontynent dziesiątki lat wolny od wojen, który powoli zdobywał rzesze energicznych emigrantów ze wszystkich krajów europejskich.

Rzesze te, które opuszczały Europę w różnych okresach jej historii, były rozczarowane resztkami feudalizmu europejskiego i jej konserwatyzmem społecznym i obyczajowym. Wędrowały one za morze, aby szukać nowych dróg. Jeśli byli wśród tych emigrantów różni przestępcy i zbrodniarze, to nie stanowili oni wśród mas emigranckich tak wielkiej liczby, jak to się w Europie powszechnie sądziło. Byli to przecież ludzie w ogromnej większości szukający chleba, często wolności, a nawet nowych form życia zbiorowego.

Młody kapitalizm, który się tam rozwijał, miał początkowo zupełnie inny charakter od europejskiego i dopiero w ostatnich dziesiątkach lat do niego się upodobnił. Rzecz prosta, że sposób powstawania inteligencji był odmienny od sposobu powstawania tej warstwy w Europie, a w szczególności w Polsce.

W Ameryce inteligencja z małymi wyjątkami tworzyła się i jeszcze dzisiaj się wytwarza z dołów społeczeństwa i swoich więzów z tymi dołami nie traci. Prawda, że na szkolnictwo odrazu wywarł swoje piętno rozwijający się kapitalizm, zużywając je przede wszystkim dla swoich praktycznych potrzeb. Ale ten kapitalizm, który sam był z dołami związany, rozumiał także pewne minimalne potrzeby wykształcenia mas i z własnego interesu nie przeciwstawiał się temu wykształceniu. Stąd w Ameryce powstał dosyć oryginalny system szkolny, niby to wzorowany na angielskim, ale bez brytyjskich elitarnych ograniczeń, szczególnie w szkołach wyższych. Rozumiano powszechnie, że aby móc wydajnie pracować w rozwijającym się przemyśle, każdy obywatel musi mieć pewne minimum wiadomości, jak to: czytania i pisania, trochę wiadomości z historii i geografii, trochę z przyrody, matematyki i z języków obcych i nieobowiązkowo z łaciny i greckiego. I tak powstała ogromna sieć szkół powszechnych i średnich o poziomie o wiele niższym, niż ich odpowiedniki europejskie.

Zato wykształcenie w tych szkołach było i jest masowe i dzisiaj rzeczywiście trudno jest spotkać Amerykanina, szczególnie z młodszego pokolenia, nawet najbiedniejszego, który by przynajmniej w dużym stopniu, do tych szkół nie uczęszczał. Przy obecnej wielkiej konkurencji na rynku pracy, nawet na przykład takie posady, jak pracowników w sklepach są dzisiaj obsadzane tylko absolwentami szkół conajmniej średnich.

Wykształceniem zawodowym wyższym zajmują się uniwersytety lub specjalne politechniki, tak zwane instytuty technologiczne. Ale i tu wykształcenie jest praktyczne wielostopniowe i w ten sposób przystosowane do potrzeb życia codziennego przeciętnego obywatela. Młodzież przychodząca z bardzo słabym przygotowaniem ze szkoły średniej (z pewnością niższym od naszego kursu zerowego) odrabia w pierwszym roku zaległości i po jednym lub dwóch latach przygotowawczych studiów zaczyna się specjalizować w obranym kierunku. Specjalizacja trwa dwa do trzech lat, po których student uzyskuje swój pierwszy stopień naukowy — bakałarza. Już z tym stopniem może on iść w życie praktyczne, zacząć regularnie zarabiać i nawet, jeśli zechce, w ogóle na tym poprzestać.

Ludzie o tym stopniu wyszkolenia pełnią niższe funkcje inżynierskie, pedagogiczne lub inne nie wymagające zbytniego balastu naukowego. Podkreślić także należy, że przez cały ciąg tych czterech lat, tak zwanego kolegium, studenci są poddani ścisłej dyscyplinie szkolnej i ustawicznym egzaminom kontrolującym ich postępy nieomal z miesiąca na miesiąc, przyczem następuje nieubłagane przesiewanie mniej zdolnych i pilnych. Jednakże, każdy ma otwartą możliwość dalszego kształcenia się, zarabiając na życie jednocześnie, jeśli tylko wykaże odpowiednie zdolności. Liczne kursa wieczorne i dzienne a nawet wakacyjne pozwalają w ciągu dodatkowego roku lub dwóch i po napisaniu samodzielnie odpowiedniej pracy oraz złożeniu dalszych egzaminów, uzyskać stopień magistra, który mniej więcej poziomem swoim naukowym odpowiada naszemu magisterium lub ukończeniu politechniki.

Stopień ten podaje już prawa do znacznie poważniejszych kierowniczych stanowisk w przemyśle, lub mniejszych stanowisk uniwersyteckich, ale dopiero doktorat uzyskiwany po trzech latach studiów po magisterium, po napisaniu poważniejszej pracy, oraz złożeniu egzaminów na najwyższym poziomie daje prawa do kierowniczego stanowiska w przemyśle, lub profesorskiego i naukowego na uniwersytetach. Egzaminy na wszystkich stopniach są bardzo ostre, gdyż kapitaliści amerykańscy, którzy mają dokładny wgląd do programów uniwersyteckich, przez swoich przedstawicieli zasiadających w radach zarządzających szkołami wyższymi, nie mogą pozwolić choćby ze względów konkurencyjnych na szkolenie niedouczonych specjalistów, którzy przecież później będą kierować ich przedsiębiorstwami.

Za to inne przedmioty nie związane ze specjalnością studenta, są traktowane zupełnie po macoszemu. Np. przedmioty humanistyczne, tak u nas wysoko cenione, często nawet z wielką szkodą dla nauk matematyczno - przyrodniczych i technicznych, są tam postawione wysoko tylko w nielicznych stosunkowo centrach uniwersyteckich, o starej tradycji kulturalnej i są przez całe społeczeństwo traktowane raczej jako luksus popierany przez humanitarnych milionerów.

Pomimo wszystkich wad tego systemu, widzimy, że jest on jednak wybitnie przystosowany do ogólnych potrzeb młodzieży amerykańskiej, która przez wielostopniowość studiów nie jest obarczona niepotrzebnym balastem naukowym, nie mając równocześnie zamkniętych dalszych możliwości kształcenia się.

Warto także podkreślić, że społeczeństwo amerykańskie, które jest z małymi tylko wyjątkami wybitnie utylitarne i w którym powodzenie finansowe jest miernikiem sukcesu życiowego, umie docenić ważność pomocy materialnej dla studiującej młodzieży. Student, jeśli nie może otrzymać jednego z licznych stypendiów będących do jego dyspozycji, ma możność przez wykonywanie różnych drobnych prac utrzymania się podczas studiów. Uniwersyteckie biura pośrednictwa pracy ułatwiają im znalezienie odpowiedniego zarobku, a przekonanie powszechne, że każda praca ma swoją wartość, nawet, najbardziej trywialna w europejskim pojęciu, daje większą możliwość łączenia studiów z pracą zarobkową, niż u nas, gdzie ciągle istnieje przepaść pomiędzy pracą umysłową i fizyczną.

NASZA RZECZYWISTOŚĆ OBECNA I WIDOKI NA RZYSZŁOŚĆ

Z zestawienia dróg rozwojowych inteligencji polskiej*) i amerykańskiej widzimy jak daleką jeszcze jest droga do urzeczywistnienia u nas upowszechnienia studiów wyższych. Trzeba będzie zwalczyć wiele przesądów i uprzedzeń, tak w starszym pokoleniu, jak i w młodzieży, będącej pod przemożnym wpływem starszych, zanim się ten cel osiągnie. A osiągnąć ten cel musimy, gdyż jedynie w ten sposób będziemy mogli zapełnić nie tylko luki wojenne w naszej inteligencji, lecz także odnowić ją przez dopływ świeżych umysłów spragnionych wiedzy i pracy umysłowej, a pochodzących z najszerszych warstw narodu. Wtedy dopiero będziemy mieć nie tylko drobną elitę umysłową, będącą jakąś egzotyczną rośliną na polu, na którym nic poza tym nie rośnie, ale społeczeństwem, w którym wszystkie zdolności będą możliwie wykorzystane dla ogólnego dobra.

Drogi prowadzące do urzeczywistnienia tego celu nie wiodą przez ślepe naśladownictwo ani utylitarnego systemu amerykańskiego tworzącego ciasnych specjalistów, bez żadnej ogólnej kultury, ani też przez naśladowanie jakiegokolwiek kraju europejskiego, którego psychologia jest inną od naszej, i którego drogi rozwojowe były także inne. My sami powinniśmy dojść do właściwego rozwiązania, przez uczciwą i szeroko zakrojoną dyskusję tak w kołach rządowych i uniwersyteckich, jak i w kołach samej młodzieży i rozwiązanie to, powinno przybrać konkretną formę w Ustawodawstwie Sejmowym. I właśnie dekret o tytule inżyniera, może być uważany za wejście na drogę upowszechnienia studiów wyższych*). Przez zmianę tytułu inżyniera z naukowego na czysto zawodowy, dekret ten stwierdza potrzebę wprowadzenia dwustopniowości w wykształceniu technicznym. Wydaje mi się, że ta dwustopniowość, zastosowana nie tylko do nauk technicznych, może się stać jednym z decydujących czynników upowszechnienia wyższych studiów przez dostosowanie ich do praktycznych potrzeb życia kraju i młodzieży i zdjęcie z tej młodzieży niepotrzebnego obciążenia. Należy przy tym zaznaczyć, że taki system nie obniży w niczym poziomu naukowego tych studentów, którzy się będą chcieli wyłącznie nauce poświęcić.

Wprowadzenie dwustopniowości do studiów wyższych nie rozwiązuje jednak całkowicie zagadnienia ich upowszechnienia. Nie mamy niestety danych statystycznych z ostatniego dwulecia niepodległości, ale chociaż wiemy, że na niektórych uniwersytetach odsetek młodzieży biedniejszych grup społecznych zwiększył się wydatnie w stosunku do liczb przedwojennych, to na innych uczelniach stan ten nie zmienił się prawie zupełnie.

Już Falski w swojej pracy wspominał w roku 1937 o potrzebie „daleko idących środków wykraczających poza szkolnictwo wyższe" dla uzyskania tego celu. Jako jeden ze środków widzi Falski potrzebę „zorganizowania dostatecznej pomocy dla młodzieży zdolniejszej i dzielniejszej, której brak środków i warunki niepomyślne środowiska stają na przeszkodzie w kształceniu się". Jako drugi środek widzi on „rozszerzenie obecnego zasięgu kształcenia i dokształcania młodzieży na wszystkich szczeblach i wyrównanie poziomu tego kształcenia".

Oba te środki są także dzisiaj aktualne i Polska Ludowa może je stosować przez coraz bardziej zwiększającą się pomoc stypendialną, tworzenie burs i domów akademickich itd. oraz reformę samego szkolnictwa.

Akcja ta jednak wymaga czasu nie tylko ze względów organizacyjnych, ale i finansowych, gdyż hierarchia potrzeb związana z planem trzyletnim będzie zwalniać większe sumy finasowe potrzebne na ten cel tylko w bardzo wolnym tempie. A tymczasem pęd młodzieży do wyższych uczelni jest ogromny i pomimo ich większej ilości niż przed wojną, są one przeciążone w takim stopniu, że muszą wprowadzać wstępne egzamina konkursowe ze względu na brak miejsc.

I tu istnieje poważne niebezpieczeństwo, że jeśli młodzież będzie przyjmowana na wyższe uczelnie tylko na zasadzie mechanicznej kwalifikacji wyniku egzaminów, to młodzież sfer biedniejszych, nie mająca takiej sposobności i możności przygotowania się, jaką ma młodzież zamożniejsza, będzie powoli znowu eliminowana i że wszystko może powrócić nawet do stanu podobnego, jaki mieliśmy przed wrześniem 1939 r.

Tego musimy za wszelką cenę uniknąć, nie tylko dlatego, że taki stan rzeczy nie byłby zgodny z kierunkiem rozwoju, który kraj nasz obrał, ale także dlatego, że byłoby to powtórzeniem niesprawiedliwości reżymu przedwrześniowego w stosunku do wielkich mas młodzieży zdolnych do nauki i chcących się uczyć.

Sprawiedliwe rozstrzygnięcie tego zagadnienia jest trudne, bo trzeba przy tym uniknąć obniżenia poziomu naukowego studiujących. Nie jest ono jednak niemożliwe. Może byłyby tutaj pomocą dla komisji kwalifikacyjnych delegacje ze samego społeczeństwa, znające lepiej środowisko społeczne kandydatów od profesorów będących w komisjach. W każdym razie cel upowszechnienia studiów wyższych jest tak doniosły, że warto rozpocząć poważną dyskusję nad tą sprawą i szukać koniecznego rozwiązania dla wszystkich zagadnień związanych z tym problemem i przyszłością tej najcenniejszej części społeczeństwa, jaką jest nasza młodzież.

*) Patrz Wacław Szymanowski: „Upowszechnienie wyższego szkolnictwa", Wieś" nr. 18.

Celem - postępowe środowisko rolnicze

dokończenie ze str. 1-ej

W okresie należenia do PRW młodzież będzie mogła nie tylko zdobyć fachowe wiadomości z dziedziny rolnictwa pogłębiając je wiadomościami ogólnymi, ale posiądzie sprawność i znajomość zagadnień wojskowych w takim stopniu, że po przejściu trzeciego stopnia PRW młodzieniec może być nawet zwolniony od obowiązku służby wojskowej, bo wszystkie niezbędne wiadomości, jakie musi posiadać żołnierz zdobędzie w PRW, nie wyjeżdżając ze wsi, nie odrywając się od rodziny, gospodarstwa i miejscowego środowiska społecznego. Dziewczęta będą się szkoliły w sanitarce, łączności, w służbie administracyjno-gospodarczej itp.

Dodać jeszcze trzeba, że w zespołach PRW dużą uwagę zwraca się na prace kulturalne — książka, odczyt, pogadanka z dyskusją, radio, teatr, śpiew, muzyka.

W tak ujętym planie działania, przy użyciu w pracy organizacyjnej nauczycieli i instruktorów szkół rolniczych, instr. Związku Samopomocy Chłopskiej zamierza się w bieżącym okresie wiosny, lata i początków jesieni przeprowadzić przez zespoły PRW do 300.000 młodzieży obojga płci.

Piotr Greniuk

Anna Kamieńska

BIBLIOTEKA

Dziś pułap strychu, gdzie książki mi mokły pod oknem
o światła biblioteki się oparł.

Bo kiedy zamknę tu oczy, spada u nas rzęsisty deszcz
i ćmi słomiane gwiazdy.

Umarłych rąk babki gest ożywa podnoszący modlitwy
z dalekiej drukarni chrzęstu.

I rośnie mi ojca stół po obiedzie starty porządnie
z barszczu, z chleba okruszyn.

Jak dziecko, gdy samolot zobaczy w górze i palcem
ściąga niebo ku źrenicy —

Wołam książki, odwijam z zapóźnionych gazet,
z nieuprzejmych kurzów biblioteki.

Jak mało mnie wspiera zatopionego w szeleście:
głos nauczyciela, gdy mówi,

A w izbie zimnej mróz pisze na szkle i w narożnej desce
pracowity chroboce robak.

Kiedy tak myślę, że nie pragniesz mieszkać, żono,
w bibliotece z marmuru

I że dzieci inny może zbudują dom naszym myślom —
cierpię i kocham goręcej.

Zygmunt Stolarski

O NOWĄ POSTAWĘ

(Po zjeździe ideologicznym Stowarzyszenia Akademików Woj. Kieleckiego)

ZIEMIA OWOCOWAŁA ZGLISZCZAMI

Ciekawy turysta, który chciałby dziś wspiąć się na Miedzianą Górę, musi u jej stóp napaść oczy niespodziewanym widokiem. Koło spalonego gospodarstwa stoi pogruchotany czołg a u lufy jego przekrzywionego działa zawieszona chłopska chusta kolebie na wietrze śpiące dziecko. Widok taki nie jest w programie tego, co wyczytawszy uprzednio w monografii Kielecczyzny chce ujrzeć na Miedzianej Górze ciekawy turysta. Widok ten jednak skłania do refleksji i nie jest ostatnim z tych wszystkich obrazów, które ludziom odwiedzającym ziemię kielecką tworzą nową skrótową jej wizję.

Las jodłowo-bukowy na Łysicy.

Przed wojną utrwalała się pamięć o Kielecczyźnie jako o ziemi barwnego krajobrazu, lasów jodłowych, kolebce Reja, Kochanowskiego, Żeromskiego, Dygasińskiego, Langiewicza, Staszica. Dziś trudno odtworzyć tę konwencjonalną, estetyczną wizję. Dziś na plan pierwszy wysuwają się nowe elementy, wyznaczające zupełnie inną problematykę.

Od dnia wybuchu wojny polsko-niemieckiej do dnia wyzwolenia ziemia ta owocowała zgliszczami. Gospodarstw zniszczonych całkowicie 60.000, częściowo 20.000. Powiaty: stopnicki, sandomierski, kozienicki i opatowski zniszczone w około 70 proc. (34.890 gospodarstw zniszczonych całkowicie, 18.300 częściowo). Drogi — te liche, nieliczne drogi w województwie zniszczone przeciętnie w 60 proc. (gminne 60 proc., powiatowe 80 proc., wojewódzkie 50 proc., państwowe od 10 do 90 proc.). 3.640 m. zniszczonych mostów żelaznych i żelazo-betonowych. Inwentarz żywy wytrzebiony do tego stopnia, że we wsiach o liczbie 2.000 mieszkańców pozostało 5—6 koni. Ludzi bez dachu 300.000, 230.000 zginęło, 12.000 odniosło uszkodzenia ciała lub zdrowia. Straty materialne na terenie województwa sięgają 3.000.000.000 złotych według cen z roku 1939.

Turyście — estecie ziemia kielecka zapełnia się widmami a widok dziecka śpiącego u lufy czołgu urasta do symbolu. Postawmy się w jego sytuacji. Chyba nie zechce wspinać się na szczyt Miedzianej Góry. Odbieranie wrażeń estetycznych wymaga wszak pewnej równowagi ducha...

BRACTWO SZPAKÓW I BURSZÓW KIELECKICH

W lutym 1945 roku, w pierwszych dniach wolności, szła po Kielcach wieść o mającym tam powstać uniwersytecie. Przypuszczano nawet, że będzie się on mieścił w dawnym domu W.F. i P.W. W oczekiwaniu na własną uczelnię zaczęła się młodzież tymczasem zgłaszać na wykłady prowizorycznych Kieleckich Kursów Akademickich, prowadzone przez kilku profesorów, których losy wojny tu zagnały. Wkrótce okazało się, że uniwersytetu w Kielcach nie będzie. Młodzież z województwa rozjechała się po całej Polsce, a w październiku 1946 roku powstało Stowarzyszenie Akademików Ziemi Kieleckiej; nazwę, która sugerowała regionalistyczny charakter organizacji, zmieniono wkrótce na „Stowarzyszenie Akademików Województwa Kieleckiego". Liczy ono dziś blisko 5.000 członków — najliczniej reprezentowane jest Częstochowskie (1.200), dalej Radomskie i Kieleckie.

Jest to więc organizacja młoda i o wartości jej można będzie coś powiedzieć dopiero po paru latach. Tymczasem warto przypomnieć jej członkom tradycje akademików tych okolic.

W „Pamiętniku Świętokrzyskim" wydanym w roku 1930 napotykamy na dość obszerną monografię „Bractwa szpaków i burszów kieleckich"*). Akademik Dobrosław Kalinowski wydalony z Uniwersytetu Warszawskiego zakłada w Kielcach w roku 1821 oddział istniejącego w Warszawie tajnego stowarzyszenia „Bractwa Burszów Polskich". Członkami stają się uczniowie kieleckiej Akademii Górniczej założonej przez Stanisława Staszica. Bractwo miało krótki żywot. Już pod koniec 1822 roku carski sąd policji poprawczej obwodu jędrzejowskiego wnosi o śledztwo w sprawie stowarzyszenia. Dukumenty ze śledztwa pozwalają się zorientować, jaki był cel istnienia Bractwa.

Cytuję: „W opinii kwalifikacyjnej ukończonego śledztwa czytamy, iż „Cel Bractwa tego był naukowy i wspieranie jeden drugiego już w naukowościach, już w zasiłkach pieniężnych możniejszych uboższym" a czasem, gdy grosz pozwolił „niewinna zabawa przy piwku i lulce". Zgodnie z art. 6 Konstytucji Bractwo miało swoją kasę. W Kielcach była ona bardzo szczupła i wystarczała zaledwie na gazety, piwo, tytoń itd. ...Gutt zeznał: „Czasem ze Szpaków niektóry Burszem został, co raz na rok lub na dwa lata, byłym w Akademii akademistom tęgą bibę sprawić był w stanie".

Wystarczy tego, aby się przekonać, że wartość niektórych tradycji wygasa równocześnie z chwilą ich zarejestrowania. „Przy piwku i lulce" śpiewali burszowie patriotyczne pieśni:

„Jeśli więc jaki tyranie
Chcesz widzieć kraj nasz w ruinie —
Nie wprzód twa wola się stanie
Aż już ostatni z nas zginie"

— nic jednak przez to tyrani nie ucierpieli. Tym bardziej, że śpiewano również: „Sam Noe dowiódł już tego dość", „Piję w ręce twoje", „Już za moją szklankę wziąłem, vivat kompania". Władze rosyjskie wydały Bractwu po śledztwie opinię bardzo przychylną i choć zebrania zostały zabronione, nikt ze związkowców nie został ukarany. W istocie zabawowy i towarzysko- elitarny charakter Bractwa wykluczał wszelką poważniejszą pracę czy to konspiracyjną, czy nawet samopomocową.

Pamiętajmy, że jest to pierwsza połowa XIX wieku, kiedy możność uczestniczenia w wyższych studiów uwarunkowana jest wysoką pozycją materialną a w związku z tym i socjalną. „Konstytucja" Burszów naszpikowana przepisami honorowymi, instrukcjami o pojedynkach („tylko na pałasze", „rąbanie się ze wszystkimi sędziami" jako jedyny protest przeciwko wyrokowi sądu koleżeńskiego), jest wierną kontynuacją szlacheckiego stylu życia. Student ówczesny wkupywał się do Bractwa „tęga bibą", poza nauką spędzał czas „przy piwku i lulce", pieśniami i składką opłacał w organizacji wewnętrzną potrzebę ideowości — i wracał do jednego z białych dworów kieleckich, „na wieś". A tam — „kontakt z przyrodą — cytuję za „Ziemianką Polską" — przywraca człowiekowi jego pierwotny, prostolinijny, spokojny światopogląd, wypaczony często i wytrącony z równowagi"...

CZERWONI RADOMIACY

A tymczasem rosło nowe pokolenie studentów o światopoglądzie już nieco „niespokojnym". Innym od poprzedniego uczyniły je zmiany, jakie w międzyczasie zachodziły w kraju.

W latach 30 — 40 zeszłego stulecia zwycięski na zachodzie postęp techniczny zaczyna przenikać do Królestwa. Na lata te przypada sprowadzenie maszyny parowej dla przemysłu włókienniczego w Łodzi, otwarcie pierwszej linii kolejowej warszawsko-wiedeńskiej, wzrost liczebny miast (Warszawa liczy ponad 100.000 mieszkańców), wzrost produkcji przemysłowej (wartość fabrycznej produkcji Łodzi przekracza 1.000.000 rubli), eksport zboża z Królestwa do Anglii powoduje polepszenie koniunktury gospodarczej, rusza hutnictwo w Zagłębiu Dąbrowskim. Konflikty klasowe nabierają ostrości, bezrolni chłopi mnożą szeregi proletariatu miejskiego.

I szkolnictwo ma charakter klasowy. Minister oświaty hr. Uwarow pisze w sprawozdaniu za lata 1833—43 (powtarzam za J. Kottem: „Kapitały i folwark", Kuźnica nr 82 og. zb.): „Dla stanu kupieckiego, mieszczańskiego, a wedle możności i samych włościan otwarte są przyzwoite drogi do edukacji stosownej do ich potrzeb, trybu życia i położenia w państwie.".

W istocie „włościanie" na uczelniach to jeszcze sprawa przyszłości. Do głosu na razie dochodzi młodzież przede wszystkim pochodzenia mieszczańskiego. Niespokojny rok 1848 przynosi dojrzały owoc „nieubłaganej krytyki wszystkiego, co istnieje" prowadzonej przez Marxa i Engelsa w Niemczech, Francji, Belgii i Anglii — „Manifest komunistyczny". Idee socjalizmu naukowego przejmuje proletariat. Zapoznaje się z nimi i młodzież uniwersytecka.

I oto można Stowarzyszeniu Akademików Województwa Kieleckiego przypomnieć drugą tradycję.

W wydanej w r. 1925 książce J. Grabca p.t. „Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem" napotykamy ciekawe rozdziały mówiące o żywym udziale grup studenckich w lewicowych organizacjach Uniwersytetu Warszawskiego. Wspomnienia Grabca mówią o grupie studentów z okręgu radomskiego, który dziś w Stowarzyszeniu uczestniczy pokaźną liczbą 900 studentów.

Autor tak charakteryzuje swą paczkę radomską w momencie wstępowania jej na uniwersytet: „Przybywaliśmy też do „budy" z jasno określonym programem działalności. Od lat już kilku ideowo związani z P.P.S. postanowiliśmy ideologię tej partii zaszczepić wśród młodzieży całego kraju, a przede wszystkim stworzyć organizacje partyjne wśród młodzieży na uniwersytecie i w oczekiwanej od następnego roku politechnice Warszawskiej. Było to główną częścią i kośćcem całokształtu działalności, której program starannie przedyskutowaliśmy na zebraniach naszego „Koła" jeszcze w Radomiu i która miała stworzyć przełom w politycznym życiu młodzieży radykalnej"

Bardzo ciekawe są owe lata Polskiej Partii Socjalistycznej. „Zawracająca głowy powstaniem — jak ją określali ówcześni weterani ruchu — które, jeśli się uda, w co zresztą głupiec może wierzyć, to robotnikowi da co najwyżej w dodatku do polskiego burżuja — polskiego oberpolicmajstra i polskich żandarmów" (Grabiec, op. cit.). Wszak głową jej i duszą był naówczas „Wiktor" — Józef Piłsudski, który później jakże gładko umiał zarzucić jej ideologię. Ba, „sam Dmowski" na zjeździe młodzieży w Warszawie w 1890 roku nie uchylał się od śpiewania „Czerwonego sztandaru"*). P.P.S. ówczesna miała w sobie więcej patriotyzmu, niż czystej ideologii socjalistycznej. Zjawisko zresztą zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę ówczesne stosunki polityczne i ekonomiczne. Wszak byt określa świadomość — jak twierdzi nauka socjalizmu — i trudno na tym przykładzie odmówić jej prawdy.

Studenci „paczki radomskiej" brali istotnie żywy udział w ruchu partyjnym. Częste manifestacje, protesty, wiece, odczyty (zgodnie z garbarskimi tradycjami Radomia pośród czeladników rozmaitych rzemiosł raczej, niż wśród fabrycznych robotników) — to wszystko zajmowało im cały czas poza nauką.

W pracy tej możemy zaobserwować ciekawe zjawisko. Cała książka Grabca jest właściwie wspomnieniem o poszczególnych ludziach. Historia partii poprzez dzieje ich życia rysuje się nikle i mgliście. Zabarwienia ideologii socjalistycznej, zmienne i czasem kontrastowo sprzeczne, były narzucane grupom przez silniejsze jednostki. Nieugruntowane jeszcze poczucie spójni społecznej i jedności grupy stworzyło typ człowieka — indywiduum, działacza — samotnika, dla którego organizacja jest jedynie tłem, odskocznią do jednostkowych działań. Praca społeczna polega na ideologicznym uświadamianiu innych i nie trzeba właściwie być studentem dobijającym się fachowości ani absolwentem uniwersytetu posiadającym określoną specjalność, by być społecznikiem tego typu. Działalność ludzi opisanych przez Grabca, nie ma silniejszej łączności ze studiami, nie angażuje ich przez wiedzę, a tylko przez przekonania.

ŻEROMSZCZYZNA

W sylwetce radykalnego działacza owych czasów można spostrzec niektóre rysy bohaterów Żeromskiego. Choć Grabiec na ogół odżegnuje się od „czułostkowej, liryzującej cielęciny konspiracyjnej", jaką prócz Żeromskiego odmalował Strug i Daniłowski, stwierdza jednak:... „wszyscy bez wyjątku byliśmy owładnięci wszechwładnym w tych czasach, a tak pięknie wyidealizowanym w twórczości Żeromskiego „kategorycznym imperatywem" „walki z szatanem". Sięgnijmy jeszcze do Grabca. Oto jak charakteryzuje on nastroje wśród swych towarzyszy: „Humor — często **szubieniczny** — ale zawsze szczery, i zapał, wiara w powodzenie sprawy, a **kompletna pogarda wszelkiego osobistego niebezpieczeństwa** panowały wszechwładnie. Aksjomatem dla każdego z nas było, że po dwóch, trzech latach pójdzie **do ula**, pojedzie na **Jakuty**, względnie **zwieje — zagranicę**". Czy nie oddaje to tak charakterystycznego u bohaterów Żeromskiego: nie dbania o własne losy i tego przeczuwanego czy też nie przeczuwanego złego końca całej działalności?

Nienascy, Judymowie, Przełęccy—to więc nie tylko fikcje stworzone przez Żeromskiego. Są oni wystylizowanymi wyrazicielami tego życia i działalności społecznej, jakie wśród inteligenckich działaczy społecznych dominowały w Kongresówce na przełomie XIX i XX wieku. Sam pisarz zresztą był bardzo blisko ruchu. Pasierbica jego była „dromaderką" partii, rozrosiła nielegalną bibułę, a on uczestniczył często w dyskusjach i zebraniach organizacyj lewicowych.

Szczególnie w Kielcach silnie się przeżywa lekturę Żeromskiego. Tu gdzie nie pomija się żadnej okazji by się na jego pochodzenie z tej ziemi nie powołać, gdzie stoi stare gimnazjum z „Syzyfowych prac", gdzie Karczówka, puszcza jodłowa, Wierna Rzeka, gdzie gęsto sterczą ruiny zamków — tragicznych zamków Żeromskiego.

I jeśli pod względem formalnym trudno by fikcję literacką zestawić z konkretnym działaniem konkretnych ludzi (choć u Żeromskiego, jak widać, stereotypowy bohater nie jest tylko fikcją), to bez wątpienia trzeba uznać fakt, że wpływ Żeromskiego na kształtowanie się postawy społecznej młodzieży był bardzo silny. Jest to wzór osobowości **historyczny**, ciążący na młodym pokoleniu, niezależnie czy zna ono Żeromskiego i czy myśląc podobie powołuje się na niego i jego bohaterów.

Nienaski, Judym, Przełęcki...*)

Pierwszy — młody architekt świeżo po studiach otrzymawszy niewielki fundusz z nagrody konkursowej zabiera się do odbudowywania ruin ariańskiego zboru, aby stworzyć szkołę dla dzieci kolonistów i muzeum druków „braci polskich". Gdy w trakcie roboty brakło pieniędzy, odczytami, namawianiem porusza snobizm małomiasteczkowy, że nawet i panie znajdują w jego dążeniach „niejaki powab" Na dążeniach jednak się kończy. Zwykła, stara prawda: „ofiarność publiczna skończyła się równie szybko jak zaczęła".

Judym — młody lekarz, społecznik, tworzy wzorowe uzdrowisko Cisów, by wreszcie nie dokończywszy zaczętego dzieła rzucić je. Skazuje się na dobrowolną bezdomność ducha i ciała.

Przełęcki — przegrywa swą walkę o szkołę dla dzieci chłopskich.

Zdawało się czytając ich dzieje w gimnazjum, że to jakiś fatalizm rzuca ich w manowce starań ponad miarę i klęsk ponad miarę. Czyżby jednak fatalizm?

Bezskuteczność działania społecznego bohaterów Żeromskiego jest rozgrzeszona oporami, jakie napotykają w środowisku, lecz przede wszystkim jest zdeterminowana w **samych założeniach**. Na tle przeciętności, kołtunerii środowiska są to wspaniałe, wielkie dusze wypowiadające walkę niematerialnemu, **metafizycznemu złu**. Ważne jest dla nich samo **działanie w dobrych intencjach**. A działanie to, na odległy i niedosiężny cel nastawione, nie rozkłada się na szereg dostrzegalnych i możliwych do wykonania zadań — stąd dysproporcja między poświęceniem a jego skutkami. Oglądając nędzę miasteczek kieleckich „Nienaski nie mógł sobie z tym zjawiskiem dać rady. Im bardziej je zgłębiał, tym bezwzględniej był zrozpaczony. Była to noc, bajoro bez wyjścia, jakaś nieuleczalna choroba". Oto typowy obraz moralisty na rozdrożu. „Złębianie" zjawiska — to analizowanie rzeczywistości sub specie aeternitatis, z zupełnym pominięciem historycznego stanu rzeczy, i **historycznie możliwych** i właściwych środków działania. Wniosek z takiego zgłębiania, to „bezwzględna rozpacz" lub „wojna wypowiedziana podłości", wojna z punktu źle zaczęta. Drobna zdawałoby się zmiana poglądu na pochodzenie i właściwości zła nie pozwoliłaby moraliście na rozpacz.

PRZEMINĘŁY CZASY

W jakże innym, w jakże tragicznie innym świetle można dziś na terenie województwa kieleckiego oglądać typowe problemy Żeromskiego! Pokolenie, które w ostatnich latach przed minioną wojną na ławie gimnazjalnej „zgłębiało" problem bezdomności doktora Judyma, staje dziś oko w oko z problemem cięższym, tragiczniejszym — bezdomności 300.000 ludzi na terenie własnego województwa. Pokoleniu temu zło ukazuje się w jego najoczywistszej, materialnej postaci: zło 60.000 gospodarstw zniszczonych całkowicie, 230.000 ludzi poległych w bojach partyzanckich lub zamęczonych przez Niemców, obniżenia się wskutek zniszczeń zdolności zatrudnienia zakładów przemysłowych województwa — nielicznych przecież — ze 150.000 robotników w 1939 r. do 45.000 obecnie.

Powstanie Stowarzyszenia Akademików Województwa Kieleckiego przypadło na histo-

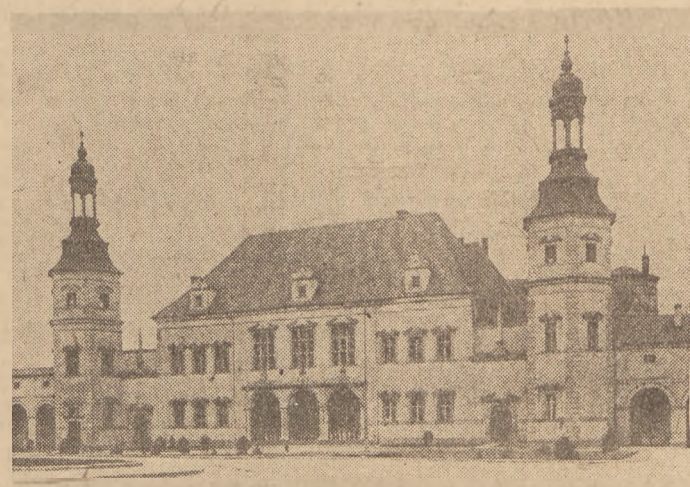

Kielce. Zamek pobiskupi, siedziba Szkoły Akademicznej Górniczej. W skrzydle północnym odbywały się zebrania Burszów i Szpaków kieleckich. Obecnie mieści się Urząd wojewódzki.

*) St. hr. Małachowski-Łempicki: „Związki tajne w Świętokrzyskiem", cz. II.

*) Napoleon Czarnocki: Przyczynki do historii P.P.S. Księga pamiątkowa P.P.S., str. 55.

*) Streszczam tu fragment referatu J. A. Króla wygłoszony na zjeździe kwietniowym Akademików w Kielcach.

ryczne czasy zorganizowanej pracy i olbrzymiego wysiłku dla odbudowy. Fakt ten w dużej mierze określa cel dążeń Stowarzyszenia: ująć młodzież studiującą w organizację, która by jednocześnie pomagała materialnie w studiach i wiązała ściśle z województwem, nie przez kultywowanie jednak **tradycyjnego, estetyzującego regionalizmu**, lecz przez wskazywanie konkretnych ról do odegrania w terenie wiążących się ściśle z samymi studiami — jak np. praktyk w czasie feril. Stowarzyszenie ma szanse z czasem stać się instytucją pośredniczącą między władzami wojewódzkimi, dysponującymi pracą dla absolwentów uniwersytetów a poszukującymi jej. Wszystko wskazuje na to, że byłaby to praca celowa, oparta już nie na jednostkowym działaniu, lecz na wykonywaniu funkcyj w ramach przemyślanego planu, który prócz celowości pracy zapewnia właściwe użycie ludzi do właściwych zadań.

Duże zapotrzebowanie na absolwentów szkół wyższych gwarantuje dokonywująca się już teraz odbudowa i przebudowa na terenie województwa. Siedem powiatów zostało objętych „akcją skoncentrowaną" — zakwalifikowano do odbudowy 8.700 budynków. Dotychczas odbudowano całkowicie 5.200 gospodarstw, wzniesiono na nowo 2.851 m. mostów, dla napotykającej na duże trudności wobec braku sprzężaju odbudowy dróg uruchomiono kredyt 282 milionów zł. Ożywia się dawny, z XVIII w. przemysłowy rejon iłżecko-starachowicki. Już wszczęto budowę kolejki łączącej oba te miasta celem dowozu węgla do wapienników, rud do starachowickich zakładów i robotników z Powiśla. Przemysł starachowicki zwiększa o 2.000 załogę robotników.

Jest to kilka luźnych przykładów, może jednostronnie mówiących tylko o budownictwie przemysłowym, mieszkaniowym i komunikacyjnym. Z tych cyfr jednak można wywnioskować, że ożywić sie mają wszystkie dziedziny życia w województwie. Na przykładzie choćby Jasieńca — wsi leżącej w budującym się okręgu przemysłowym, w której akademicy spędzają wakacje — widać, w jak dużym stopniu korzysta z odbudowy zacofana wieś*).

W tej nowej walce wypowiedzianej **złu historycznemu'** tkwi sens istnienia Stowarzyszenia Akademików Województwa Kieleckiego: musi ono zająć postawę czynną wobec dokonywujących się przemian. Towarzysko-zabawowy charakter Bratwa Szpaków i Burszów wygasł wraz z [illegible]go epoką szlachecką; partyjno-wyzwoleńcza działalność Radomiaków była właściwa również w określonych warunkach minionych lat, wzór **jednostkowego działacza—straceńca** z książek Żeromskiego do naśladowania dziś nie pobudza. Tymczasem nowa postawa, jak każda nowa, napotyka na opory.

Jeden z kolegów dowiedziawszy się, że mam zamiar pisać o studentach, prosił mię żarliwie:

— Tylko nie krytykuj ich, nie zadrażniaj. Oni są tacy czuli na punkcie swej wartości, są wśród nich różne nurty, różne przekonania...

Jest to bardzo znamienne. Nie będę zadrażniał, nie miałem zamiaru. Chodzi mi tylko o to, by kolegom—studentom wpoić przekonanie o konieczności zmiany postawy w życiu organizacyjnym. Idzie bowiem fala krytyki z różnych stron, kierowana przeciw **zastojowi społecznemu** inteligenckich sfer studenckich. Idzie właśnie fala zadrażnień.

W 7-mym numerze „Wiciowej Wolnej Gromady" czytamy (z referatu wygłoszonego na ogólno-krajowej konferencji akademików — wiciarzy): „Na każdego indywidualnie, jak również na uczelniane koła wiciowe wpływa atmosfera ideologiczna całego środowiska akademickiego. Przybierzmy pewien dystans i przyjrzyjmy się charakterowi tego środowiska.

Synów chłopskich, ni synów robotniczych nie ma na wyższych uczelniach tyle, ile być powinno w państwie postępowych reform społecznych i władzy ludowej. Przewagę mają jeszcze synowie warstw, mogących pozwolić sobie na „luksus" średniego i wyższego wykształcenia — warstw, na których opierał się stary reżim".

Dalej stwierdza referent, że inteligenckie grupy studentów wpływają ujemnie na ideologicznej postawy młodzieży radykalnej... „O eliminację tych ludzi... przeprowadzić musimy walkę".

Jest to bardzo jaskrawe postawienie sprawy, głosy takie jednak zobowiązują do przemyślenia, we własnym interesie młodzieży akademickiej, który pokrywa się równocześnie z interesem chwili dziejowej.

Wielką rolę do spełnienia mieć będzie pismo Stowarzyszenia i ono jest powołane do wypracowania ideologii organizacji. Poza informowaniem o życiu na uczelniach i w terenie województwa winno ono drogą ankiet i konkursów zebrać bogaty materiał o pochodzeniu społecznym studentów, ich warunkach materialnych itd. Będzie to pierwszy i ważny dokument dla obiektywnych naukowych opracowań. Trzeba związać te dwie rzeczy: nowy skład społeczny akademików i nowy rozdział historii Polski.

Zygmunt Stolarski

*) Patrz „Mit parceli", Wieś" nr 96 og. zb.

Jan Aleksander Król

„BYLE POLSKA WIEŚ SPOKOJNA"... (III) *)

1) „NIE BÓJ SIĘ GELDHABIE!"

W cyklu odczytów, wygłoszonych o Fredrzę w r. 1876, hr. Tarnowski nazywa Jowialskiego „najmilszym w świecie staruszkiem", o Anieli ze „Ślubów panieńskich" mówi, że to „jeden z najładniejszych i najwierniejszych typów polskiego dziewczęcia", a wszystkie postacie są „wiernemi a pięknemi typami natury tego narodu, do którego należą". Boy-Żeleński pamięta „Śluby panieńskie", wystawiane w Krakowie około i po 1900 roku, „grane jeszcze niemal jako współczesną komedię... O stylu fredrowskim nie wiele rozprawiano wtedy, bo ten styl był jeszcze aktorom starszej szkoły czymś bardzo bliskim swą tradycją, w typach, w zacięciu, w traktowaniu wiersza".

Komedie Aleksandra Fredry, świeżo upieczonego hrabiego, wzmacniają w pierwszej połowie 19-go wieku tradycję stanu, to, co ks. Kalinka nazywał „perłą praw szlacheckich" i dla czego szlachta galicyjska po upadku Rzplitej — w jego oczach — była „daleko więcej sama narodem". Ale obok ruralisty hr. Fredry stał wówczas industrialista i ekonomista, ks. Kalinka.

Z dwóch tradycji w r. 1876 pozostała już tylko jedna — fredrowska i ta panuje. Okazy szlacheckie z dworków to najwierniejsze i najpiękniejsze typy narodu polskiego. Niechby i tak było, ale jakkolwiek nie zawsze możemy się domyśleć jak gospodarują i co robią bohaterowie komedii Fredry poza przyjęciami, mariażami, hipotekami i bliżej nie określonymi „dyrekturami" — wiadomo przecież, co robili ich potomkowie, słuchacze odczytów hr. Tarnowskiego.

W tymże samym roku 1876 budżet Sejmu Krajowego przewiduje na cele gospodarcze 100 tysięcy koron, na oświatę 550 tysięcy, a na reprezentację — 680 tys. kor., podczas kiedy postawienie średniej fabryki wymagało 100 tysięcznej inwestycji. Jeszcze po roku 1900 komedie Fredry grane są „jako współczesne komedie". To też w Galicji w r. 1906 na przemysł, handel i rolnictwo idzie 5 mil. koron, na oświatę 12 mil., ale w Królestwie Czeskim na oświatę — 43 mil. koron, na politechnice praskiej i berneńskiej jest 3000 studentów, na uniwersytecie przeszło 5.000. W szkołach przemysłowych 56 tysięcy, w Galicji — 7 tysięcy. Analfabetów w Czechach — 4 proc., a w kraju „najmilszych na świecie staruszków" — 41 proc.

W latach 1870—1878 Sejm nie wykazywał żadnego zainteresowania dla spraw agrarnych. Dopiero w r. 1890 powstanie Komisja dla spraw rolnych przy Wydziale Krajowym, gdzie na 11 członków, znajdzie się jeden reprezentant „Kółek Rolniczych" i to nie zawsze chłop. O „najwierniejszych typach polskich" z tych lat rzeczywiście można pisać językiem Fredry: „Znaczne dobra" — „spokojne posiadanie" — „Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie".

W „Dożywociu" Fredry hreczkosieje mieli jeszcze troski:

„Co się pytasz, wszystko drogo,
Tylko nasze zboże tanie",

— ale pokolenie hr. Tarnowskiego żyje w nowym okresie. „System **ochrony solidarnej**, obciążający w Austrii surowce i pół-fabrykaty w interesie wielkich agrariuszy i karteli działał na szkodę Galicji, kraju wprawdzie o słabym rozwoju przemysłowym, lecz ludności gęstej, zainteresowanej w taniości głównych środków konsumpcji i artykułów codziennej potrzeby" (Biegeleisen — „Stan ekonomiczny Małopolski" — 1921).

„Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie".

2) NĘDZA GALICYJSKA

A wieś przeżywa w latach 1875—1890 dramatyczny okres lichwy i wyzuwania się z ziemi. Najtańsza włościańska stopa pożyczkowa równa się 30 proc. Płaci się 2 centy od 1 zł. na tydzień. W Chrzanowskim od 10 zł. — 2 zł. na miesiąc, w Światyńskim — 100 proc., ale grunt w zastaw, za 5 zł. — jeden zagon i 4 skiby, co się równało 10 zł. rocznego dochodu.

„Podczas kiedy dawniej chłop winien był arendarzowi za wódkę a dziedzicowi za zboże, po latach 10 rozpoczęła się na dobre walka między wierzycielem lichwiarzem a dłużnikiem włościaninem o **inwentarz i grunt**" (Leopold Caro — „Studia społeczne" 1908).

Ustawa o zniesieniu lichwy 1877 r. nie zmienia tego stanu. Lichwiarze, aby nie brać małego procentu, nie kredytują. Chłopi sami wówczas płacą ponad normę. Ziemia znajduje się w ciągłym obrocie. Ktoś traci, ktoś dokupuje. Tradycja zagrody i stałego miejsca zamieszkania jest przywilejem 4 proc., w najlepszym razie — 15 proc.

Drobna własność chłopska stawia na hodowlę, zboże kupuje. Uczestniczy w ten sposób w gospodarce towarowej i pieniężnej. Ale jest wciąż zadłużona i inwestycje są żadne albo z reguły niedostateczne. W latach 1890—1900 w porównaniu z Anglią, Belgią, Holandią, Niemcami zbiór z 1 ha w Galicji — pszenicy, żyta, owsa — jest dwa razy mniejszy. (Buzek „Administracja gospodarstwa społecznego" Lwów—1913 r.). Na 1 km. kw. w r. 1910 w Niemczech wypada 120 mieszkańców, we Francji — 73, w Danii — 66, w Galicii — 102. A przecież kraj to nieuprzemysłowiony. Samej ludności rolniczej jest w Galicji na 1 km. kw. — 78, podczas kiedy w Królestwie Kongresowym — 57, a w ks. Poznańskim — 39.

W r. 1900 wielka własność posiada 1/4 obszarów ornych, równa się to 1 milionowi ha. Folwarków (rodzin) 3423. (0,3 proc. posiadających ziemię). 3 miliony ziemi ornej w rękach chłopów, z tym, że 500 tysięcy rodzin ma po 1 ha, 360 tysięcy po 3 ha.

Zatem 860 tysięcy rodzin (86 proc. chłopów — ponad 5 milionów ludności) posiada półtora miliona ziemi ornej, od 1 do 3 ha.

W rachunku brak nam jeszcze półtora miliona ha. Zaczyna się tu arystokracja chłopska.

124 tysiące rodzin (12 proc. chłopów) poniżej 10 ha — 800.000 ha.

26 tysięcy rodzin (2,6 proc. chłopów) poniżej 20 ha — 375.000 ha.

7 tysięcy rodzin (0,7 proc. chłopów) poniżej 100 ha — 350.000 ha.

Gospodarstwa do 5 mórg uzyskują 2 morgi (hodowla — 127, ziemiopłody — 5) 132 korony przychodu. Wynosi to rocznie 650 koron. Gospodarstwa od 10—20 m-g z morgi — 104 korony, rocznie — 2.000 koron. Tu różnica w ilości ziemi daje wyraźną różnicę w dochodach. Ale już w gospodarstwach powyżej 20 mórg, z morgi — 60 koron, tzn. przy 30 morgach rocznie — 1800 koron.

Oto obraz spotęgowanej nędzy galicyjskiej. Mało, że przeciętna wydajność z hektara jest tu dwa razy niższa, niż w zachodniej Europie, mało, że ziemiaństwo (0,3 proc.) trzyma 1/4 ziemi ornej i niszczy wieś cłami i drogim zbożem, ale nadomiar złego w rękach nie całych 4 proc. chłopów znajduje się blisko milion ha (1/4 całego obszaru ornego Galicji) z którego 8/10 jest całkowicie nie rentowne, jakby ich nie było. Gospodarz na 30 morgach osiągą dochód ten sam co chłop na 20-tu, a równocześnie 5 milionów biedoty gnieździ się na półtora milionie ha, obok miliona zmarnowanej ziemi „włościan".

Wstrząsający jest bilans handlowy Galicji, sporządzony przez dr. Rutkowskiego za lata 90-te. Oto główniejsze pozycje:

Wywóz

1) Bydło rogate	—	16	mil. koron
2) nierogacizna	—	29	„ „
3) drzewo	—	15	„ „
4) jaja	—	3	„ „
5) masło	—	1,5	„ „
6) nafta	—	5	„ „
7) rzepak	—	1	„ „
8) sól	—	2	„ „
9) strączkowe	—	4	„ „
		76,5	mil. koron

Przywóz

1) cukier	—	3,0	mil. koron
2) ryż	—	1,5	„ „
3) wino	—	3,6	„ „
4) kawa	—	2	„ „
5) galanteria	—	6,5	„ „
6) maszyny i części składowe		5,5	„ „
7) skóry surowe i wypraw.		10	„ „
8) szkło, porcelana	—	2	„ „
9) tkaniny	—	18	„ „
10) tłuszcze	—	1,5	„ „
11) wełna	—	3	„ „
12) węgiel	—	2,5	„ „
13) żelazo surowe i przerob.		14,5	„ „
14) nici	—	1	„ „
		106,0	mil. koron

Wynika z tego zestawienia, że główne pozycje dochodowe wsi: bydło i nierogacizna obracały się w bilansie wywozowym w granicach 30 mil. koron (w 1/3 w tym wywozie uczestniczyły folwarki). Że drugi dochód zabiegliwej pracy i troski — z masła, jaj, strączkowych i rzepaku — równał się 10 milionom koron, podczas kiedy z zagranicy do Galicji sprowadzał **„ktoś"** dla konsumcji wino, kawę, ryż, cukier i porcelanę za 11 milionów koron rocznie.

„Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie".

„Szło nasze drzewo — pisze Bigeleisen — nieprzerobione w masach okrąglaków, prostych desek do Niemiec zamiast w postaci przerobów drzewnych, nasza ropa przerabiana była w znacznej części w obcych rafineriach, nawet nasze produkty surowe jak glina, kamienie, wapno, piasek, żwir itd. szły za granicę, zamiast ulec przeróbce w kraju, skóry surowe szły do fabryk i garbarni zagranicznych, nasza sól, zamiast służyć swojskiemu przemysłowi chemicznemu, wzbogacała zachodnie kraje austriackie, tak samo miała się rzecz z przerobami ropy, z odpadkami, z pierzem, kośćmi itd. Masowy wywóz surowców odbywał się więc **kosztem swojskiej produkcji i konsumcji**, która otrzymywała często spowrotem produkt gotowy, przerobiony za granicą z swojskich surowców.

Niektóre gałęzie szczególnie trzymały prym w tej mierze, nasze garbarstwo niesłychanie zaniedbane nie korzystało z pierwszorzędnego surowca, nasze stolarnie fabryczne były u początkowych stadiów rozwoju, pomimo znowuż pierwszorzędnego surowca, nasze nieliczne laboratoria i fabryki chemiczne nie wykorzystywały świetnego i obfitego surowca soli, nasze rudy aczkolwiek nie najlepsze nie były ogółem w kraju należycie wykorzystane".

3) POMOC CHŁOPÓW - EMIGRANTÓW

W r. 1913 wywóz z Galicji osiąga wartość 162 milionów koron, przywóz — 439 milionów koron. Bilans ujemny na 280 mil. koron. Kto go wyrównuje? „Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie". I tym razem chłopi za nas zrobią. I robią, a dzieje się to tak. Już w latach 80-tych lichwą wyzuci z inwentarza i ziemi, bez miejsca do pracy emigrują chłopi z Galicji za ocean, 67 tysięcy. W następnym dziesięcioleciu wyrusza ich ponad 300 tysięcy. Między 1900 o 1910 r. — pół miliona. Ale w tym dziesięcioleciu od emigrantów chłopów-robotników, budujących amerykańską gigantomachię industrialną, przychodzi rocznie 100 milionów koron na wieś. Oto kapitał oszczędności 100.000 chłopów-robotników, którym podtrzymują oni wegetację 5 milionów drobnorolnej biedoty galicyjskiej. Te sto milionów koron robotniczych ochrania chłopów od śmierci głodowej, a panów Geldhabów od rozruchów, od **lawinowego przewrotu na wsi.** Więcej, te 100 mil. koron pozwala panom Potockim i „Janielkiewiczom" w r. 1893 na 150 posłów w Sejmie wprowadzić 105 właścicieli wielkich posiadłości tj. 70 proc., a w r. 1908 jeszcze—65 proc. Te sto milionów koron chłopów-robotników neutralizuje mowy Daszyńskiego w wiedeńskim parlamencie. „Nie takie głowy jak twoja, Ekscelencjo spadły" grzmiał Daszyński do Wojciecha Dzieduszyckiego, a stary hrabia układał wtedy najspokojniej dowcipną odpowiedź na zaproszenie cesarza. „Daszyński, wówczas w pełni młodości, to był, niezależnie od przekonań słuchaczy — jak wspomina Boy — największy obok Kamyczka (Kamińskiego), **sukces artystyczny**".

Sukces... — artystyczny!

W r. 1908 na Sejmie galicyjskim (debata nad budżetem) W. Witos oświadcza (a jest to jedno z pierwszych prezentujących go przemówień), że nie ma „zamiaru puszczać się na szerokie wody wielkiej polityki". „Jako włościanin pragnę jedynie zwrócić uwagę Wysokiego Sejmu na krzywdę i żądania tych szerokich mas ludności".

Czy krzywdy i żądania wsi galicyjskiej, która z nędzy w tych latach wygnała za oceany blisko milion chłopów, nie otwierały perspektyw na „wielką politykę"? Czy można było o nich mówić inaczej jak nie o wyniku wielkiej polityki? W. Witos mówi powściągliwie i ogólnikowo. „Widzimy, że w kraju naszym znajduje się jeszcze tysiące wiosek, które bodaj jednoklasowej szkółki nie posiadają". Szkoły jakie są, nie posiadają tego, „ażeby chłopa nauczyć, iż jest nietylko chłopem, ale Polakiem". „Pożądanym by było, aby szkoły wyższe rolnicze w Dublanach i w Czernichowie przygotowywały odpowiednich kandydatów do udzielania nauki rolnictwa w powiatach". „Trzeba postarać się o to, aby kobiety wykształcić się mogły w swoim fachu". „Rząd nie stara się ogromne obszary odwodnić". Młynarstwo, jedyny przemysł chłopski, został zniszczony przy regulacji rzek. Rybołówstwo wydzierżawione nie chłopom. „Brak drzewa opałowego i materiałowego daje się coraz bardziej we znaki". „Rok-rocznie wzrastają podatki i różne daniny, lud chętnie je płaci", ale dyrekcja wymierza je podwójnie, aby po rekursach dopiero zwrócić nieprawne.

„Dajcie nam to, bo się nam należy. Nie róbcie z tego serdecznego ludu armii niezadowolonych, jeżeli wam na naszej i waszej przyszłości zależy".

Cóż te żądania znaczą w ramach uchwalanego budżetu: 4 mil. — rolnictwo, 1 — przemysł, 12 — oświata? Do wsi przychodziło corocznie 100 milionów koron zza oceanu. Oto

*) Patrz „Mit parceli", „Wieś" nr 17 i „Droga do pół-kolonii", „Wieś" nr 13.

Włodzimierz Olszewski

*
* *

Z treścią wydartej z roli skiby mózg się sprzęgł —
Nam żyć — to nie uczyć się umierać!
Dziś mitem sochy brzmi żelaźnie pługów szczęk,
By Ongiś w twarz twarzą stawić Teraz.

Zadumą w młócce ponad ziarnem rozmach ścierpł:
Kłos ofiarą chłopskiej padł rebelii.
W dostale snopy na klepisku prasnął cep —
Zadymi chleb żytnią ewangelią.

Dłoń wdzierzgnąć! Jak przaśną parą tchnie zbita kiść!
Tu plew nie zwieją cne słowa z ambon!
Bruzdą trakt dzieckom pruć i iść i żyć!
My — wam, wy — nam! Nie: albo... albo...

Nam głaz pod śpichrz krzepką da zaprawę.
Z kipiących ławą hut aż po brzeg, gdzie skrzypi dźwig
Siejba nas prze w odłogi — już ławą.
Kwas strugi potu, ziemi garść i upust krwi

proporcje! I być może, te sto milionów przesłaniając ostateczną nędzę, zacofanie, ciemnotę i poniżenie społeczne wsi, odebrały przywódcy ludowemu odwagę w oskarżeniu i żądaniu.

Czy wymienione prośby rozwiązywały tragiczny problem wsi galicyjskiej? Czy po ich zaspokojeniu „serdeczny lud" przestałby być „armią niezadowolonych"? I czy wreszcie prośby te w przekonaniu samego mówcy miały i mogły być zrealizowane — „pożądanym byłoby"... „trzeba postarać się o to"...?

4) ROLNICTWO — „NAJLEPSZY WARSZTAT"

„Dzielimy to przekonanie, — mówi Witos na tej samej sesji w r. 1908 — **że rolnictwo jest u nas najlepszym warsztatem pracy".** Mówi to wówczas, kiedy oszczędności - nadwyżki 100 tysięcy jego braci z **robotniczej pracy przemysłowej** w Ameryce utrzymują przy życiu 5 milionów chłopów małorolnych w Galicji i **hamują ostateczną katastrofę gospodarczą.** Sto tysięcy! Mówi to wówczas, kiedy Galicja przeżywa **agonię przemysłu...** W r. 1907 liczba przedsiębiorstw podległych obowiązkowi składania rachunków wynosiła w Małopolsce 1,362, (w r. 1853—45.835) w Austrii niższej 1,503, natomiast suma podatków patentowych wynosiła w Galicji zaledwie 2 miliony na 47 milionów w Austrii niższej. Podatek dochodowy: w Galicji — 7 mil. w Austrii niższej — 51 mil., w Czechach — 20 mil. koron.

W kasach oszczędności (również Stefczyka i Raiffeisen-kach) zasoby pieniężne dochodziły do 600 mil. kor. „Niestety fundusze te były przeważnie unieruchomione, głównie oszczędności średnich warstw, włościan, rzemieślników, urzędników, służby itd. więc **krótkoterminowe** i wycofywane często dla konsumcyjnych celów, nie nadające się dla inwestycyjnego kredytu przemysłowego" (Lewicki—„Na marginesie statystyki" 1910 r.).

Ale zadłużenia pańskiej Galicji sięgały 2-ch i pół miliarda koron w stosunku do miliarda wierzytelności Małopolski i do 11 miliardów całego społecznego majątku Galicji. Bank Krajowy powołany przez Sejm dla podniesienia przemysłu w połowie uzależniony był od kapitału wiedeńskiego. Na 56 towarzystw akcyjnych tylko 16 należy po 1900 roku do krajowych zakładów. Ponad 80 proc. produkcji naftowej przeszło w obce ręce, z siedmiu kopalni — 5. Huty cynkowe są również obce, to samo w przemyśle papierniczym, cementowym, chemicznym, szklanym.

I w takich warunkach rolnictwo miało być **„warsztatem pracy"?** Mało — **„najlepszym warsztatem pracy"?** Przywódca **powstającego** ruchu ludowego dzielił to przekonanie z **ustępującymi** z „podbojów handlowo-przemysłowych" — ziemiaństwem i urzędniczejącym mieszczaństwem.

Ta zgodność przekonań — to **odwrót na całym froncie krajowym.** Wstępująca w życie społeczno-polityczne nowa klasa — chłopi, **sankcjonuje strukturę kraju — pół-kolonii.** W granicach takiego losu będzie określać swoje potrzeby i żądania. Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie!".

Jeszcze będzie dobrze, bo chłopskie bydło staniało miedzy 1900—1910 r. o 10 proc., a nasze zboże zdrożało o 100 proc. (pszenica 11—23, żyto 7—15, owies 6—15). Na terenie naszej wielkiej własności zboża zajmują 66 proc., na terenie chłopskiej 67 proc., ale oni po większej części ziemiopłodami spasają bydło. Kartofli u nich 13 proc., u nas 11 proc., ale gdy my je pchamy do gorzelni, oni do żołądka. Mają nad nami przewagę w roślinach przemysłowych (6 proc., my 3 proc.) ale to detal.

W latach 1900—1910 produkcja na 1 ha podniosła się we wszystkich rodzajach upraw (oprócz buraków — cukier zagraniczny!) od 1/10 do 1/5 ale i tak jest dwa razy mniejsza od produkcji w Europie Zachodniej. W 1913 r. Galicja produkuje 11 milionów q zboża, niedobór uzupełnia **przywozem 6 milionów q.**

Na głowę mieszkańca wypada 1.13 q. w Niemczech 2.2 q. we Francji 3 q. A ile wypada na głowę chłopa? Ile może on dla siebie zatrzymać? Niemcy jeszcze dokupują. Przemysłem dokupują i przemysłem osiągnęli u siebie tak wielką wydajność i obfitość zbóż. Tam jest 120 mieszkańców na km. kw., w Galicji 108. Tam 33 rolników, tu 78. Tam jeszcze są szanse na zmniejszenie ludności rolniczej, tu — żadne, chyba, że „za chlebem" — za oceany...

„Dzielimy to przekonanie, że rolnictwo jest u nas najlepszym warsztatem pracy".

5) KRAJOWA „JASNA POLANA"

Kiedy Prus pod koniec „Lalki" ukazuje symbole pół-kolonii: Boga, ziemię i lud, (a jest to rok 1894), są już w Królestwie i w Warszawie polityczni szermierze tej koncepcji: Popławski, Wasilewski... Dmowski. W Galicji w tym samym dziesięcioleciu powstaje subtelniejsza podbudowa, bardziej zamaskowana i mniej świadoma politycznych konsekwencji. — Tu ideologicznie los półkolonii upiększa się i aprobuje na warsztacie **kulturologów.** Witkiewicz od r. 1886 z przerwami siedzi wśród górali. Na zakopiańską „Jasną Polanę" jeździ pokolenie Żeromskiego przyjrzeć się bezinteresownemu miłośnikowi „nowej prawdy". Urok szlachetnej postaci, celowa skromność i ograniczenie stopy życiowej,daja swoisty kredyt filozofii ludomana. Ileż stylizacji na mistrza u jego ucznia, Orkana, w zagnieżdżeniu się na Wielkiej Porębie. Stąd adresuje odezwy „do braci chłopów".

J. G. Pawlikowski w r. 1891 przenosi się z rodzinnej Medyki na katedrę ekonomiki w szkole rolniczej w Dublanach. Wł. L. Jaworski w r. 1898 obejmuje katedrę prawa w Krakowie. Zaczyna się zatem w latach 90-tych „uczone" i „filozoficzne" dzielenie przekonania, że rolnictwo jest u nas najlepszym warsztatem pracy. Wpływy idą na młodzież, chłopską i inteligencką. Nowe wzruszenia, nowe horyzonty. Ożenki z chłopkami Tetmajera, Rydla i Wyspiańskiego dokonują się w atmosferze tego kulturalno-estetycznego czaru.

W r. 1906 wychodzi „Na przełęczy". Powieść jest dla Witkiewicza pretekstem. Jak w torbę, pakuje w nią „myśli". „Trzeba zejść do dna duszy ludu i zrozumieć, że jej potrzeby i pragnienia są zasadniczo te same co klas wyższych, choć się przejawiają inaczej... Duma narodowa i pycha, pochodząca z bogactwa rozpiera tak samo pierś Gąsieniców jak i Zbaraskich. Człowiek! — człowiek! — oto co trzeba widzieć w chłopie i panu, żeby stracić mnóstwo złudzeń i zyskać wiele nadziei". Jak tę myśl rozumieć? Jeżeli odnosi się ona do psychologii człowieka, jasne, że życie psychiczne ludzi nie różni się z powodu przedziałów społecznych. Gniewać się, cieszyć, mścić, mieć ambicję itd. to wspólna możliwość wszystkich. Witkiewiczowi idzie jednak o co innego przecież. Jednorodność psychologiczna uprawnia lud do tego, aby zniesiona była nierówność społeczna. O to mu chyba idzie? Chłop to również człowiek! Tym czasem „Do niedawna ludzie, którzy szczerze nawet współczuli ludowi, widzieli w jego niedoli główne zagadnienie dobrobytu materialnego. Zdawało im się, że rozstrzygnięcie dochodu równa się podniesieniu poziomu ludzkiego istnienia".

To jest r. 1906. To jest Galicja. To jest ten lud, którego 5 milionów żyje na 1 do 3 ha, bez szans ludzkiego dorobku, ten lud, który wygnał z domu blisko milion synów i córek z głodu za ocean. Który tu ma drogą konsumcję, a żadnych szans na pracę w innych zawodach, który przez niedojadanie głupieje, choruje i karleje, na sąsiada siekierę podnosi, a w domu — „o ten garnek przy ogniu, o opał, o kącik w piwnicy czy na strychu — nieustanne przeswary i kłótnie. Każda łyżka kością w gardle staje, łzami się soli... gdy zdrowie się straci.... mogłaby jeszcze iść żebrać, jeśli zdole iść — lecz ta pozostała resztka honoru familijnego od tego ją wstrzymuje. To jest, co się zowie: bieda" (Orkan „Listy ze wsi").

Ale jeszcze i w tym ustąpmy Witkiewiczowi. Niechże, jak chce, dobrobyt materialny rozstrzyga się wtórnie, niechże będzie składową „podniesienia poziomu ludzkiego istnienia". Zgoda, zacznijmy od tego. Jaka zatem przed wsią galicyjską stała droga w te lata otwartej pół-kolonii? „Jednym z pewników, których uczy historia, jest , że rostrzygającym czynnikiem życia zbiorowego nie są formy urządzeń, instytucje, tylko jest stan dusz danego społeczeństwa".

Znaczyło to praktycznie, społecznie i politycznie: dusza ludu (wspaniała, a jakże, równa panom) objawiać się może i powinna nadal w niezmienionych formach urządzeń.

„Geldhable nie bój się! Nie bój się, dobrze będzie"

J. G. Pawlikowski: „Kiedy przyjrzymy się dzisiaj jeszcze przeciętnej wsi polskiej, zauważymy łatwo, jak ona organicznie z przyrody wyrosła... Oto droga polna, którą idziemy, zlewa się tak harmonijnie z otoczeniem... Na pastwisku igrają dzieci przy pasącym się bydle" (41 proc. analfabetów w kraju „najmilszych w świecie staruszków").

„Ale jedno przecież trzeba zaznaczyć: oto, że miasto jest w wielkiej mierze twórcą tego ducha, który wypacza przyrodę na wsi... Z miasta też zaczyna wysuwać się coraz częściej do małych miasteczek napół rolniczych i na wieś przemysł fabryczny. Przynosi on z sobą dym, hałas, smród i wzory domów, podobnych do odwachów lub więzień. Ten nowożytny moloch — przemysł ogołocił lub już wkrótce ogołoci przyrodę z wielu gatunków zwierząt (?), odpływy z jego fabryk wypleniły doszczętnie ryby w wielu rzekach (?) a nawet wytruły ptaki (?) ...największą zaś krzywdą, wyrządzoną przezeń przyrodzie bywa kamieniołom i turbina". I to głosi profesor ekonomii i w szkole rolniczej... i w nieuprzemysłowionej Galicji...

„Kolej żelazna jest narządem krążenia przemysłu, ona zbliża i poddaje jego wpływowi najdalsze okolice, a gdy przynosi mu z nich materiał przynosi także i akt poddania się, a gdy rozwozi jego towar, rozwozi także i jego ducha"

„Kultura wyszła z przyrody i nosiła długo na sobie jej cechy, potem zwróciła się przeciw niej... człowiek ujarzmił ją tak gruntownie, że poczynają mu włosy wstawać z przerażenia... Hasło powrotu do przyrody — to nie hasło abdykacji kultury — to hasło walki kultury prawdziwej z pseudo-kulturą — to, hasło walki o jaknajwyższe kulturalne dobra" („kultura a natura" — Lamus 1912 r.).

„Geldhabie, nie bój się! Nie bój się, dobrze będzie".

Prawo Wł. L. Jaworskiego: „Masa ludności, przeszło 60 proc. (Nie, „najmilszy w świecie staruszku", w Galicjii tworzyła 77 proc.!) jest rolniczą, inteligencja zaś wychowana jest na myśleniu, które wykształcone zostało przez przemysł i handel" (u nas?...)

„Myślenie przemysłowe jest racjonalistyczne, wychodzi z założenia, że rozum ludzki jest wyłącznie źródłem twórczym... Tymczasem historia tworzy się w przeważnej mierze pod wpływem czynników irracjonalnych... zaufanie do racjonalistycznego myślenia kończy się rozczarowaniem... Wedle mojego zdania rozwój przemysłu u nas będzie zależny od rozwoju rolnictwa, a wskutek tego program, mający określić strukturę naszego społeczeństwa, wyjść musi z punktu widzenia agrarnego... Wieś przepojona jest irracjonalnymi elementami i dlatego winna tworzyć sobie swoją własną ideologię".

A rozwój rolnictwa w Galicji zahamowany upadkiem i wyzuciem się z przemysłu, a chińskie przeludnienie z tego powodu na wsi to był stan rzeczy, któremu zarysowano straszny, beznadziejny ciąg dalszy „Rozwój przemysłu u nas będzie zależnym od rozwoju rolnictwa" — błędne koło!

O jakże nie własną była ta ideologia ludowa: „dzielimy to przekonanie, że rolnictwo jest u nas najlepszym warsztatem pracy"

Bracia przegranych szlachciców w europejskiej „wolnej grze interesow" kapitalizmu, a mimo to do upadłego broniących górującej pozycji społecznej i narodowego władztwa — bracia, Witkiewicz, Pawlikowski, Jaworski oddali przysługę, nie ludowi a familiantom. Roztoczyli wizję półkolonii, jako **rzeczywistości idealnej.** Spętali lud: nie „formy urządzeń" a dno duszy! Nie ujarzmianie przyrody, a powrót do niej, organiczne wrośnięcie! „Nie przez kształcenie pojęć osiąga się rozwój społeczny — lecz przez kształcenie uczuć"! Precz od przemysłu, precz od racjonalistycznego myślenia! I lud nie zburzył urządzenia „półkolonii", nie przełamał utrwalającej go w niewoli społecznej i nędzy, narodowej ideologii pół-kolonii.

Tu już nie idzie nam o sprawę lat ostatnich w XIX i pierwszych XX. W szkole tych kulturologów a conajmniej w kręgu ich wpływu wychowali się przecież Orkan, Bujak, Pigoń, Niećko, Solarz. W 1925 r. będzie Orkan pisał w „Listach ze wsi": „nie bieda, nie ciemnota jest najgorszą dla chłopa niedolą. Największe piekło na wsi, jak i w mieście wynika ze współżycia różnych ras duchowych ze sobą". W 1930 r. Bujak będzie mówił na ludowej konferencji oświatowej: „Wieś jest pewnym okresem cyklu rozwojowego życia społecznego, które rozpoczyna się hordą koczującą, a kończy urbanizacją tj. ogarnięciem niemal całej ludności kraju przez miasto i przyjęciem przez nią miejskiego typu życia... urbanizacja oznacza zgrzybiałość społeczeństwa i nierozsądnem jest, będąc biednym młodzieńcem, pragnąć jaknajprędzej stać się bogatym starcem". A przecież Bujak za młodych lat widział i badał „nędzę galicyjską". Dlaczego ją w rezultacie akceptował, wraz z konsekwencjami społecznymi?

6) I TERAZ JESZCZE — NIE BÓJ SIĘ GELDHABIE!

Odkryjemy i ostatnią — **polityczną** — stronę ideologii pół-kolonii. Popławski w r. 1891 ucieka z Kongresówki i osiada we Lwowie, gdzie redaguje **„Przegląd Wszechpolski"** do śmierci (do r. 1908). Wasilewski, osiada we Lwowie w r. 1902 i przebywa do 1915, redagując „Słowo Polskie", a po latach w wolnej Polsce **„Myśl Narodową".** Nadają oni ludomanii miejscowych myślicieli i filozofów **polityczną redakcję.** Od poglądów prowadzą do partii. Nie będzie to ludowe stronnictwo. Będzie **Narodowa Demokracja.** Wróćmy jeszcze jednak do poglądów. Popławski pisał w r. 1910: „W społeczeństwie naszym nie ma prawie wcale tego, co się nazywa kulturą historyczną, nie ma poczucia łączności między przeszłością narodu, a jego życiem współczesnym". Dlaczego? „Dopiero w ubiegłym stuleciu demokratyzacja urządzeń politycznych i stosunków społecznych, niezwykle szybki rozwój przemysłu, handlu, środków komunikacyjnych wytworzyły grunt, na którym wrogie kulturze historycznej pojęcia racjonalistyczne i mechaniczne koncepcje życia bujnie plenić się zaczęły... Coraz dalej, coraz głębiej w tę przeszłość iść nam potrzeba, aż do najniższych kondygnacji, do podwalin sięgnąć, do podstaw życia narodowego dotrzeć, gdzie już świadomość milknie, a odzywa się głos krwi, przyrodzony instykt rodowy. Ten nas nie zawiedzie i wskaże gdzie pod pleśnią wieków biją krynice ducha polskiego, źródła wody żywej, która nam da moc i zdrowie".

Znów ta sama historia. Spóźnieni wobec postępu technicznego i skazani na niewolę u światowych dysponentów cywilizacji przemysłowej, spóźnieni w przemianach społecznych — zagłuszamy w społeczeństwie wyrosły stąd niepokój. Uwodzimy go w te głębie, które rozrywają historię, niszczą kulturę, a gdzie milknie świadomość i odzywa się głos krwi, ostatnia instancja grupowej więzi, akurat taka, jak u dzikich ludów — jak w „kolonii". Dlaczego?

Dmowski w „Podstawach polityki polskiej" (r. 1905 — Kraków) mówi — „Główną podstawą patriotyzmu jest niezależny od woli jednostki związek moralny z narodem, związek sprawiający, że jednostka zrośnięta przez pokolenia ze swym narodem, w pewnej szerokiej sferze czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłuszna woli narodu, wszystkich jego pokoleń, wyrażającej się w odziedziczonych instynktach".

Jednostka nie ma wolnej woli, musi być posłuszna woli zbiorowej, powstłej z **instynktów wszystkich pokoleń narodu.** To jest **zaiste kolonialna** definicja narodu. Instynkty manifestujące wolę narodu polskiego w jego historii należały do klasy szlacheckiej, pańskiej i inteligenckiej (klasowo). Wszystkie zatem instynkty innych środowik i klas winny być nadal posłuszne. Oto morał polityczny. Oto patent dla Narodowej Demokracji. Możemy wreszcie zrozumieć, dlaczego Witos w r. 1908 mówi: „dzielimy to przekonanie, że rolnictwo jest u nas najlepszym warsztatem pracy" a w r. 1918 — „Bez porozumienia z Narodową Demokracją nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić".

„Nie bój się Geldhabie! Nie bój się, dobrze będzie".

Jan Aleksander Król

Stefan Gębala

Triumf chłopskiej sprawy

„Jesteśmy u źródła literatury chłopskiej (nie ludowej w koncepcji K. L. Konińskiego). O dzisiejsze losy tej literatury chodzi w tym miejscu, kiedy lat siedem temu, jeden z naszych poetów, poszukujących nowych form dla poezji, inteligent z Warszawy, a chłop spod sandomierskiej wsi powiedział, że „przyjdzie czas, kiedy oni przyjdą na wieś nie tylko po pejzaż, ale i po słowa i problemy, po laury i dźwięki, po malwy spod okienek i po szuwarów pióropusze, też i po konwie do studzien i po bochny razowca i po trud, w jakim się one tworzą". Zapytał ktoś po prostu: „Z czym oni tam przyjdą?". Odpowiedzi na razie nie było, ale krótkie miesiące przynosiły raz wraz sprawdzanie się tej wróżby i oto jej etapy. Turysta oszołomiony wizją zmechanizowanego świata zawrócił bodajże pierwszy. Był to czas, kiedy chrzestny Solarz martwił się, że mu gacka kolęda żyta i pszenicy naniosła, a nie dała wcale krup jęczmiennych i kaszy jaglanej. Kiedy znany redaktor „Wici" ważąc na ręce pasemko papieru wróżył i zasięgał rady: skonfiskują, czy nie skonfiskują..

A konfiskowali zawzięcie i ciągle. Najwcześniej ze wszystkiego przybyło słowo „chłop", do owego czasu synonim pogardy, słowa „cham". „Chłop" przebyło dziwną metamorfozę w naszej kuźnicy która wśród trudów rozpoczynała pracę (bo nawet polityczne przedstawicielstwo tej chłopskiej społeczności zwie się Stronnictwem Ludowym).

Wróćmy jednak do narodzin nowej kuźni. Nieliczne pisma: „Wici". „Młoda Myśl Ludowa" z ostrożna zaś „Piast" i „Zielony Sztandar" udzieliły miejsca dla twórców głoszących honorność słowa „chłop" i niedostrzegane dotychczas zalety chłopskiego świata.

Twórcy ci rozpoczęli walkę o dobre imię wsi, o zniszczenie kompleksu niższości wśród chłopów, o przetworzenie narodowej kultury pozostającej pod różnymi wpływami na kulturę chłopską*), rodzimą. Myśl tę rozwijały samodzielne i niezależne „Wici", którym wtórować zaczęły także i inne pisma młodzieżowe. W ślad za artykułami w pismach pojawiać się zaczęły obszerniejsze i już nie dziennikarskie utwory, burząc błędny i krzywdzący wieś pogląd narzucony inteligencji przede wszystkim, przez Kądena Bandrowskiego i różne tendencyjne, reportażowe powieści. Była to literatura o chłopach, ale nie dla chłopów i nie przez chłopów pisana. Dopiero W. Burek napisał „Drogę przez wieś", książkę, która podobiznami w sobie zawartymi obraziła jej bohaterów, wielu innym otworzyła oczy. Przejrzał, a raczej śmielej spojrzał w swą duszę Jan Wiktor, dosłuchał się czegoś, co tylko szeptem może w jego duszy było, wielki, niezapomniany Jaracz, a wtedy w stołecznej prasie zaczął się chłopski jarmark. Na zgiełk jego w zwalisku przy ulicy Filtrowej 65 ściany drżały od wiwatów. Redaktor „Wici" oszalał, nie pytał, nie ważył, nie wróżył. Nic to, niech skonfiskują, żywe słowa zaniesiemy w najzapadlejsze kąty Rzeczypospolitej.

W twórczości przeznaczonej nie tylko dla wsi, w literaturze ogólnonarodowej pojawił się nowy ton: nabierał żywych barw i blasków młodości i czarów białowieskiej nocy. Przyłączył też ozdobioną już laurem P.A.L.u chłopską młodość Piętak. Znów brzmiały wiwaty, tym razem przy ulicy Książęcej, w które wsłuchiwał się i odmładzał M. Rataj i które zdumiewały sąsiada z „Prosto z mostu".

Zima 1937 roku:

„A to się wzięła znienacka od dobrocickiego wprost lasu". Mój sąsiad z rodzinnej wsi tak samo anonsował zimę, jak ta nowa nasza literatura. Zima 37 roku wydała owoc dwudziestoletniego rozpalania „Wici". Ktoś bardzo znany w stołecznej prasie napisał: „Oni już wkrótce nie będą nas potrzebować. Mają już swoich poetów, pisarzy, nauczycieli, rzeźbić swoich nauczyli, malować i komponować melodie". Do „Wici" i innych pism ludowych przybyli nowi współpracownicy pracując nieśmiało zrazu, lecz ofiarnie.

Nie było już układania numerów we dwóch czy nawet trzech, używania dziesięciu pseudonimów i znaków.

Musisz wiedzieć, że żołnierz chce nie tylko dobrego gulaszu w południe, machorki i przygody z dziewką wieczorem. A kiedy chcesz do chłopów przemówić, musisz wiedzieć, kto to jest chłop, byś nie przemówił do „parade bauera", a gdy już to wiesz, musisz wiedzieć, że chce on nie tylko ziemi, żony, dzieci i bydła, ale czegoś także znacznie, ale to bardzo znacznie więcej.

A to jest właśnie sedno sprawy. Tu jeszcze raz wtył zwrot. Gdyby ktoś na rok przed wojną zwrócił się do „szanującego się" literata z prośbą o napisanie czegoś dla prasy chłopskiej, ten uważałby to za zniewagę. A poza tym kwestia druga: „Ile skłonnibyście byli dać"... Niećko raz dał w pewien głodnawy dzień zimowy złotych 15 „nie według wartości, ale według możności naszych"... a ręce mu już drżały jak gaździe, gdy dzieli opłatkiem. Tak samo drżały ręce Solarzowi w Gaci Przeworskiej, kiedy przejmował te piętnastki ze skromnym dokładem.

Dziś przeszliśmy wiele. Wojnę bardzo ciężką. Ale stanąwszy na brzegu odmętu przebytego, zdumionym spostrzegamy wzrokiem że drogą naszą wiodą się gromady całe na wieś, przez wieś, niegdyś tworzywo dla nielicznych, a egzotyka dla wszystkich. Każdy kto pomaga, sam podziękowania wart. „Ale dziękując, możemy już nie zginać karku".

*) U Gębali, ucznia Niećki, widać jeszcze ślady tych „ludomańskich" wpływów, jakie wytworzyły górne klasy w okresie staczania się narodu w los „pół-kolonii", chociaż Gębala używa tego „odwrotowego" określenia („przetworzenia kultury narodowej na kulturę chłopską, rodzimą") raczej w nowoczesnym, postępowym znaczeniu. (Przypisek Redakcji).

Edmund Całka

...Aż do zniesienia pańszczyzny *)

Dochodzące różymi drogami wieści o wielkiej rewolucji francuskiej nie tylko zaostrzyły czujność społeczeństwa chłopskiego Opolszczyzny, ale i postawiły na nogi co gorętsze umysły, uważające, że nadszedł wreszcie czas trwardego postawienia swoich warunków w celu wyswobodzenia się z niewoli obszarników i uzyskania pełnych praw obywatelskich, przywrócenia godności człowieka oraz zmiany sytuacji materialnej.

Bodźcem do wystąpienia były również odgłosy Konstytucji Majowej, która po raz pierwszy w historii narodu polskiego brała w obronę najbardziej społecznie upośledzone warstwy.

Ślązacy uważali, że nurty społecznych i socjalnych przemian, idące poprzez państwa i narody z coraz większą siłą, muszą objąć i ziemie śląskie, zwłaszcza że tu, bardziej niż gdziekolwiek, sytuacja na wsi była nie do zniesienia.

Zawrzało w kluczborskim i oleskim. Już nie po lasach, nie w tajemnicy, ale jawnie i otwarcie zaczęto domagać się praw socjalnych.

Poszły manifestacje do króla pruskiego, a gdy zbyt długo nie było odpowiedzi, zbrojne grupy ukazały się na drogach, zajmowały całe wioski i miasteczka. Postanowiono dopóty manifestować swoje przekonania zbrojną ręką, dopóki nie przyjdzie poprawa.

Był rok 1793, potem 1794. Do strajku przyłączały się coraz to nowe wioski. Bunt był powszechny. Tu i ówdzie dochodziło do walk między pruskimi żandarmami i wojskiem, wysłanym do stłumienia buntu, a zbuntowanym chłopstwem. Buntownicy nie atakowali — zaatakowani, bronili się do upadłego. W razie przemocy wroga wycofywali się do lasów i przepadali. Żaden żołnierz nie odważył się zapuścić w gęstwinę leśną — las był postrachem dla Niemców.

Raz po raz szły szwadrony na poskromienie powstańców. Palono wioski i osiedla, grabiono, strzelano najczęściej Bogu ducha winnych ludzi — starców, kobiety i dzieci. Raz po raz minister prowincji śląskiej, hr. Hoym, wydawał rozkazy coraz surowszego obchodzenia się z pojmanymi do niewoli.

To nie był już bunt czy strajk — było powstanie.

Walka o prawa socjalne przemieniła się w walkę z wrogiem — pruskim okupantem. Polak mierzył się z Niemcem. Chłop z widłami czy kłonicą stał oko w oko z karabinem prusaka.

Opór wzmógł się, walka stała się bardziej bezwzględna na wieść o chłopskim naczelniku w sukmanie, Kościuszce, który wespół z chłopami gromić zaczął Moskali, o jego zwycięstwie pod Racławicami, o wielkim manifeście połanieckim.

Na interewencje ministra prowincji śląskiej rzucono nowe wojska z terenu całego okręgu śląskiego dla jak najrychlejszego stłumienia powstania. Plutony w ostrym pogotowiu patrolowały dzień i noc. Zachowano wszystkie środki ostrożności, zaaresztowano setki ludzi pod pozorem należenia do organizacji oporu, wielu spośród nich wtrącono do więzienia, wielu zakatowano na śmierć lub rozstrzelano.

Nie mamy ich nazwisk, podobnie jak nie mamy nazwisk przywódców, którzy tym razem pokierowali ruchem daleko lepiej niż w pierwszym buncie i tak potrafili przez długi okres czasu nękać przeciwnika, że ten X razy silniejszy, nie potrafił zapanować nad sytuacją.

Wrzenie w powiecie kluczborskim i oleskim trwało aż do roku 1800, zakończone strasznym zniszczeniem i spaleniem w sycowskim szeregu wiosek, posądzonych o udział w powstaniu.

Kluczborek i Olesno to powiaty, w których prawie bez przerwy chłop stał pod bronią przez kilka lat z rzędu w obronie swojej zagrody, w nierównej, ciężkiej walce z obszarnikiem i stojącym za nim z bagnetem w ręku pruskim żandarmem.

MAREK Z IMIELNICY

Wobec ruchów chłopskich na Opolszczyźnie Niemcy byli bezradni. Chcąc stłumić w zarodku wrzenie, musieliby zniszczyć wszystkie wioski, a to ze względu politycznego i gospodarczego było niewskazane. Wpadli więc na inny koncept, mniej szumny, ale według ich mniemania — bardziej skuteczny i, zdawało by się, łatwy do wykonania: sięgnąć chcieli do ośrodków dyspozycyjnych ruchu chłopskiego, by pozbawić chłopstwo kierownictwa i bunt postawić w obliczu zupełnej samolikwidacji i zamarcia wobec braku przywódców i prowodyrów.

Krążyły więc po terenie rozmaite typy w przebraniu chłopów, kupców i różnych obieżyświatów, szeroko otwierając oczy i uszy w nadziei znalezienia znienawidzonych i groźnych przywódców. Ale chłop pary z gęby nie puszczał, nie wygadywał się nigdy, czując podświadomie, że wróg czuwa wszędzie i że jego nieopatrzne słowo może przynieść nieszczęście.

Administracja jak również władze wojskowe musiały mieć przywódców — tego wymagał ich honor, tego żądał król. Nie można odnaleźć prawdziwych przywódców, trzeba postąpić inaczej — niech będą ludzie prości: wmówi się im udział w powstaniu i ukarze — dla przykładu i postrachu. Sprawiedliwości musi się stać zadość.

Doniósł ktoś właśnie, że w karczmie w Imielnicy, w powiecie strzeleckim, jeden z chłopów, nazwiskiem Marek, niepochlebnie wyraził się o rządzie pruskim, grożąc likwidacją oddziału żandarmerii w razie dalszego prześladowania chłopów. To wystarczyło — znalazł się sprawca, znalazł się przywódca.

Minister prowincji śląskiej, hr. Hoym, polecił go natychmiast ująć. Władze pruskie w obawie napotkania na zdecydowany opór w Imielnicy, którą zaczęli uważać teraz za główny ośrodek dyspozycyjny ruchu, nie odważyli się aresztować Marka w jego rodzinnej wiosce.

Czatowali na niego przez dłuższy czas, aż wreszcie w czasie jarmarku w Opolu w dniu 17 marca 1794 r. przychwycili go i pod silną strażą odstawili do aresztu, skąd natychmiast napół nagiego wyprowadzili na rynek, by na widoku publicznym, pospędzawszy wszystkich w jedno miejsce, dokonać egzekucji w postaci przepędzenia przez tzw. praszczęta, co równało się 125 rózgom, wymierzanym przez kilku z rzędu oprawców.

Był to straszny dwudniowy jarmark. Niemcy nie pozwolili rozjeżdżać się do domów, zatrzymywali wszystkich na drugi dzień, by byli świadkami ponownych katuszy nieszczęśliwego Marka.

Na drugi dzień ta sama porcja. Znów rozpasany żołdak pruski wymierza rytmicznie, z radością i pełnym zadowoleniem, rózgę po rózdze skrwawionemu i nieprzytomnemu „buntownikowi".

Gdy zmęczył się, rózgę oddawał drugiemu, ten znów trzeciemu. Ze straszną, pruską skrupulatnością liczono powoli rózgi. Po 125-ej z kolei oprawcy odeszli, zostawiając w kałuży krwi straszny strzęp biedaka.

Chłopi zabrali na wóz tę krwawą ofiarę prusactwa i w manifestacyjnym pochodzie, odwieźli do rodzinnej wsi.

Ten krwawy strzęp człowieka stał się symbolem prześladowania wsi i zamiast odstraszyć od buntów i walk, podniecał do wystąpień, wzbudzając żądzę zemsty i odwetu. Nienawiść do obszarników przerodziła się teraz w nienawiść do Niemców. Odżyła chęć walki ze strasznym wrogiem, który nie tylko nie realizuje socjalnych żądań wsi, ale nie przebiera w środkach i krwią niewinnych i uciśnionych znaczy swoje bezwzględne panowanie.

BOJKOT I ODWET.

Trzeba było raz rozpoczęte dzieło prowadzić dalej, jakkolwiek jasne było, że walka skazana była na niepowodzenie wobec znikomości środków, jakimi wieś rozporządzała oraz braku odpowiednich dowódców, którzy by potrafili skoordynować bunty, zespolić wszystkie siły celem stworzenia naprawdę silnego frontu ludowego dla realizacji programu socjalnego z uwzględnieniem praw narodowych elementu polskiego.

Cała Opolszczyzna była właściwie pod bronią. Zarządzono bojkot niesprawiedliwej pańszczyzny na wszystkich majątkach ziemskich. Tolerowano wprawdzie pańszczyźnę, z tym jednak zastrzeżeniem, że będzie ona sprawiedliwa, że nie skrzywdzi chłopa i nie będzie wykorzystawać w straszny sposób jego sił i pracy rodziny.

Tam, gdzie nie szanowano żądań chłopskich, następował zdecydowany strajk: cała wieś bez względu na konsekwencje opuszczała najpilniejsze roboty aż do czasu, kiedy właściciel majątku nie przyrzekł spełnić jej żądań.

W wypadku, jeśli dziedzic nie spełniał przyrzeczenia lub odniósł się do władz pruskich, ściągając na wieś prześladowania i represje, następował odwet — dziedzic wyrokiem ludu podlegał karze, nawet do śmierci włącznie, za krzywdy wyrządzone społeczności chłopskiej.

Karano również te dwory, które przemocą brały od chłopów robotników ponad przyjętą normę. Chłop dawał dobrowolnie robotnika. Robotnicy ci mogli bez uszczerbku dla pana obrabiać gospodarstwo — na punkcie ziemi chłop był sprawiedliwy i wiedział może lepiej od dziedzica, ilu potrzeba robotników dla normalnego funkcjonowania majątku. Jeśli przeto dziedzic siłą ściągał ze wsi robotnika dla swoich osobistych celów, spotykała go zasłużona kara, zbrojne ramię wsi dosięgało sprawcę w jego pięknych salonach i wymierzało odpowiednią karę. Każda krzywda bywała pomszczona.

Bojkot, a przede wszystkim groźba, jaka zawisła nad niesprawiedliwością dworów, uświadomiła dziedzicom konieczność liczenia się z wyzwalającymi się w ludzie siłami — dziedzice musieli, chcąc nie chcąc, zmienić kurs wobec chłopa na bardziej korzystny dla niego. Zmiana ta nie była poparta pisemnym jakimś zarządzeniem — była jedynie podyktowana strachem przed konsekwencjami. Jako taka miała charakter dorywczości i dowolnie była interpretowana przez danego dziedzica.

Siły chłopskie występowały nie tylko w ramach stosunku dworu do chłopa i robotnika. Rozszerzały zakres swego działania również i na wojsko oraz oddziały żandarmerii. Jeśli oddział jakiś dopuszczał się rabunku i mordów na wsi lub zabierał z niej co lepszego robotnika przy użyciu przemocy, chłop używał siły w obronie swych synów. Przychodziło do walki, widły były w ruchu i kłonice, lała się krew. Czasem zwyciężyła wieś, zdobywała broń, czasem krwawe ponosiła ofiary. Instynkt samoobrony bez względu na ofiary kazał walczyć i z bronią w ręku bronić swych praw.

Stan taki trwał — bez przerwy prawie — od 1795 do 1797 r. Statystyki pruskie nie wykazują swoich strat w tej wielkiej walce polskiego ludu Śląska z pruskim okupantem. Również wieś nie podaje ogromu zniszczeń i ofiar najlepszych swoich synów — jedynie legenda czy baśń ludowa z pokolenia w pokolenie cichcem przez długie lata niewoli opowiadała o czynach praojców z końca XVIII wieku.

Niemcy starali się zatrzeć w pamięci wsi te chwile bohaterskich rozpraw w obronie wolności — nadaremnie.

ZBROJNY OPÓR W TOSZECKIM I BYTOMSKIM

Nie umilkły jeszcze echa walk w innych powiatach Opolszczyzny, nie zabliźniły się krwawe rany, a już ludność wiejska w bytomskim i w toszeckim latem 1799 r. zaczęła zbrojnie opierać się nie tylko dworom ale i załogom wojskowym, w rękach których pozostawała teraz administracja tych ziem. Załogi wojskowe zaczęły bowiem postępować z polską ludnością jak z narodem podbitym.

Na całym obszarze zaprowadzono coś w rodzaju stanu wojennego, jakkolwiek chłop po okresie ciężkich zmagań był raczej lojalnie ustosunkowany do władz i właściwie nie zamierzał dłużej prowadzić walk bez żadnych widoków powodzenia.

Załogi wojskowe przez wyraźnie wrogi stosunek do wsi, przez ciągłe aresztowania pod pozorem spisku, stałe rabunki i szykany — spowodowały nowy odruch społeczeństwa chłopskiego.

Na dany znak z Bytomia, który teraz stał się poważnym ośrodkiem ruchu, około 50 gmin z sąsiednich powiatów podniosło broń, tym razem bezpośrednio przeciwko wojsku, jako najbardziej dającemu się we znaki spojnym z natury Ślązakom.

Już nie po lasach, ale po wszystkich drogach i wioskach dzień i noc czuwały uzbrojone rozmaicie chłopskie oddziały, nie pozwalając na swobodne poruszanie się mniejszych oddziałów pruskich.

Sprawa wolności socjalnej połączyła się teraz z wolnością osobistą, reżim bowiem pruski zaczął gwałtem tu i ówdzie wcielać Ślązaków do wojska, przypuszczając, że przez pozbawienie ludności najbardziej rzutkiego i aktywnego elementu — młodzieży — nastąpi uspokojenie rozgorączkowanych umysłów na terenie wsi.

Przeliczyli się jednak Prusacy — branka przymusowa nie tylko, że nie przytłumiał ruchu, lecz przeciwnie — młodzież rzuciła do lasu.

Nie pomogły sądy doraźne, aresztowania. Nie straszne były karne ekspedycje w terenie, objętym pożarem powstania: lud cierpiał, zaciskał zęby, bił się i walczył, zwłaszcza, że na horyzoncie europejskim zaczęła błyszczeć gwiazda Napoleona, w w stronę którego kierowały się teraz oczy uciśnionych i nieszczęśliwych w nadziei pomocy zrealizowania marzeń o wolności.

Lud czekał cierpliwie, nie odstępował od swych żądań, zdając sobie sprawę, że tylko twardą i niewzruszoną swoją postawą wywalczy swe prawa i uzyska lepszą przyszłość.

Złagodzenie kursu wobec ludności polskiej, wynikłe z powodu wzrostu potęgi Napoleona i obawy o przyszłość Prus, napełniło Ślązaków nadzieją, że tym razem postulaty ich będą w całości spełnione — staną się wolnymi obywatelami Polski.

CHŁOP ŚLĄSKI NA ŚLĄSKU OPOLSKIM W DOBIE NAPOLEONA

„Należy żałować — pisze historyk wojskowości okresu napoleońskiego, Janusz Staszewski — iż nie pozostawiono na Śląsku żadnej większej jednostki bojowej, przy ukazaniu się bowiem większych oddziałów polskich łatwo dałoby się wywołać powstanie".

Ludność Śląska, nauczona przykrymi doświadczeniami poprzednich okresów walk, nie chciała samorzutnie powstawać, oczekując ze strony Polski wydatnej pomocy, Prusacy bowiem likwidując w międzyczasie zbrojny opór w kilku powiatach Opolszczyzny, rozmieścili po większych miejscowościach wzmocnione garnizony wojskowe, celem niedopuszczania na przyszłość do ewentualnych rozruchów na terenie wsi. Niemcy tym razem czuwali, starając sobie zabezpieczyć tyły na wypadek zbrojnej akcji z cesarzem Francji. Przezorny Berlin zawczasu otoczył opieką niespokojną ziemię opolską, nie chcąc w chwili starcia się z potęgą Napoleona walczyć na dwa fronty.

W takich warunkach — bez oparcia się o silny trzon polskich odziałów wojskowych, stacjonowanych na tym terenie — nie do pomyślenia było powstanie ludu śląskiego, tak bardzo już wystrzępionego w długoletnich walkach i z tęsknotą wyczekującego pomocy od Macierzy.

Porucznik Trębecki, patrolujący z początkiem roku 1807 z rozkazu krakowskiego pospolitego ruszenia, raportował z pod Koźla o tym, że Ślązacy kilkakrotnie błagali o pomoc przeciw komendom pruskim w Bytomiu, Gliwicach i Toszku, biorącym ich gwałtem w szeregi i łańcuszki. „Dajcie nam zapewnienie — prosili — że przyjdziecie nam z pomocą a sami damy sobie radę z Prusakami".

Ale niestety — siły polskie były dość szczupłe, aby mogły obsadzić Opolszczyznę i przystąpić do działań ofenzywnych, zwłaszcza, że wkrótce musiały iść z pomocą gen. Zajączkowi na teren Prus Wschodnich.

Trzeba cierpliwie czekać na lepsze i sprawiedliwsze czasy. Ślązak jest twardy i nie lubi się zrażać przeciwnościami. Nie spełniły się jego dążenia narodowe w dobie napoleońskiej, spełnić się muszą przynajmniej jego marzenia o prawach socjalnych, zwłaszcza, że na Śląsku Polskim poddaństwo zostało zniesione już w r. 1807. Zaczyna więc na nowo domagać się swoich praw. Staje się twardy i nieustępliwy, już nie jako cichy, pokorny niewolnik, poddający nagi grzbiet pod bat swego pana, ale jako prawy i jedyny właściciel ziemi. Nie buntuje się już, nie chwyta za broń — z prusakiem chce wejść w układy, aby tą drogą — w sposób daleko łatwiejszy i nie pociągający za sobą krwawych ofiar — zyskać to, czego nie można było wywalczyć z bronią w ręku — zniesienie pańszczyzny.

Król pruski, nie widząc innego wyjścia, wysyła swego namiestnika, który też wkrótce słyszy od delegacji chłopskiej, przybyłej do Brzegu, charakterystyczne, powtarzane przez całą ludność słowa: „prędzej się poświartować damy, niż dłużej będziemy pracować na pańskim łanie". Był to rok 1811.

Namiestnik królewski, który miał nadzieję przekonać chłopów o niesłuszności ich stanowiska, napotkał na tak zdecydowaną niedwuznaczną postawę delegacji, że odjechał z przeświadczeniem o konieczności szybkiego rozwiązania sprawy chłopskiej, w przeciwnym razie Opolszczyzna być może znów terenem przeróżnych powikłań i walk, tak bardzo szkodzących sprawie bezpieczeństwa i całości granic państwa pruskiego.

Wkrótce po powrocie namiestnika do Berlina ukazał się edykt królewski, uwalniający chłopów od pańszczyzny. Edykt ten — zdawano sobie sprawę z tego i w stolicy Prus — nie był aktem darowizny czy chęci polepszenia doli chłopa śląskiego — podyktowany został koniecznością dziejową w wyniku długiej walki z elementem, którego proces uświadomienia społecznego zatoczył tak wielkie kręgi i wytworzył tak wielkie siły, że lekceważenie ich — nawet z pruskiego punktu widzenia — byłoby nie do pomyślenia przy racjonalnym prowadzeniu gospodarki państwowej.

*) Patrz I część „Wieś" nr 17.

Wiesław Jażdżyński

Nieodwołany rozkaz

Dyr. Romanowi Czerneckiemu, Stanisławowi Stradomskiemu i Kazimierzowi Zarębie, kolegom z konspiracyjnego gimnazjum chłopskiego.

I.

GORĄCE popołudnie poźniwnego miesiąca września 1944 r.

Terkoce młocarka w Protowej stodole, obraca się wolno długi dyszel kieratu. Chodzę za chudym zadem chłopskiej kobyły, patrząc zazdrośnie na starego, który z młodszym synem Edkiem oddziela zmłócone już kłosy i knowie od pszenicznego ziarna. Stanowczo przyjemniejszą mają robotę. Ale trwałem przy tym wolnym kołowaniu, oganiając konia batem od natarczywych much. Chodziło o ambicję, a może i więcej.

Trzeba było pokazać, że nauczyciel w tajnym chłopskim gimnazjum nadaje się do wszystkiego.

Stary wybierał najgorszą robotę. Najpierw to wynoszenie gnoju ze stajni i obory, później łuskanie grochu, rąbanie drzewa a teraz chodzenie za kieratem.

Pojedynek ze starym Protem trwał już z miesiąc i nie był łatwy. Bolały ręce, bolał kark, obornik drażnił powonienie.

Stary przerwał na chwilę dokładanie pszenicy i spytał:

— No i jakze tam?

— Ano nic — pomalutku. Długo jeszcze?

— Ano długo i pomalutku, jak w chłopskiej robocie. Sam se pan winien. Ucy pan mojego Gienka na pana, chłopak się wiejskom robotom paprać już nie chce, mówi, że jest tero do wyższych celów, to pan musi za niego robić — bo robić trzeba. Inacy nie poradzi.

I począł dokładać pszenicy ze zdwojoną energią.

Tymczasem niebo pobladło, spadł z jabłoni pierwszy zeschły liść, wiatr lekko poruszał jesienne astry.

Zgodnie z przyjętym po pracy zwyczajem, siedliśmy na przyźbie, żeby trochę pogwarzyć. Wiedziałem z góry, że i tym razem stary przesunie dziwaczny kapelusz z dużym rondem na tył głowy, poprawi wąsa, poczęstuje mnie tytoniem i zacznie opowiadać patrząc gdzieś przed siebie. Postanowiłem go uprzedzić. Podsunąłem mu pudełko z papierosami i spytałem:

— No i jak uważacie, nadają się pany z miasta, ta szlachta—do chłopskiej roboty?

— Z pana może co i będzie, jak się pan nauczy nie tylko robić, ale i myśleć po chłopsku. A naród szlachecki tako robotom brudzić se rąk nie chce. Woli trzymać za głowę partyzantkę i prowadzić swojom naukę w gimnazjum. Będzie z tego niescęście, zobaczy pan.

— Nieszczęście? Przecież walczymy o wolność wspólnie wszyscy, szlachta, ludzie z miasta, robotnicy, a przede wszystkim chłopi. I albo będziemy mieli wszyscy wolność, albo nikt z nas.

— Tyz se profesor wymyślił! Cóż z tego, że się cały naród bije, kiedy to nie jest walka o wolność wszystkich. A chłopi... to się tero za chłopskom Polske bijom? Czy pan ich tego może ucy?

— Zaraz, zaraz! Najpierw trzeba odzyskać wolność, a później tworzyć w istniejącym już państwie taką rzeczywistość, która uwzględni należycie interesy wszystkich klas społecznych.

— Co mi pan takie rzecy opowiada! Przed tamtom wojnom myśleli my jak pan teraz. Ale tyz się pan spóźnił! Na tamtyj wojnie byłem, mój somsiad Drzymek tyz. Polski my lepszy sie spodziewali, ale cóz? Na reforme ani się doczekać, z ruchem ludowym cosi pokręcili, ze nie na swojom stronę chłopi w sejmie gadali. Pomocy dla nas żadny, a dziedzic mioł wszystko i nawozy i masyny i gdzie zboze sprzedać. Jedno tylko panu powim: kto ma rząd, policję, urzędy — ten zrobi jak chce. Ślachta jest mądro i juz se zawczasu rządy zyskuje. A my pójdziemy znowu na dziady, chociaż naszych zołnierzy jest zawsze najwięcej. Ale to nie byłoby jesce najgorsze.

— Nie rozumiem, to nie wszystko?

— Będzie jesce gorzej. Słuchaj pan. Teraz się bijom narody ślacheckie z chłopskimi. Niemcy to jest naród ślachecki. Robić ino na nich, a one se chodzom i rządzom, zgrabne i złe. Ruski — to jest naród chłopski, mały i niedojedzony i licho ubrany.

— Coś tu się wam nie klei gospodarzu. Mówiliście mi kiedyś, że powstanie warszawskie zrobiła szlachta. Jakto, więc bije się z Niemcami?

—A cóż to takiego? Szlachta ze sobą się nie bije? A ile razy biła się sanacyja z endekami? Mnie tego w skole nie naucyli i pan pewno o tym nie ucys. Samem się docytał i widzioł. Nie pobili by się teraz w Warsiawie tak chętnie, gdyby nie szło o władzę. Bo tera ma ślachta wroga za Wisłom. Chciałaby mieć już państwo i policyje nim tamte nadejdom, ale to się chyba nie uda. Tamte nadejdom i dopiero będzie niescęście.

— Dlaczego?

— Ano... tylko panie profesorze, nie polecicie chyba do komendanta placówki i nie powicie mu, że ja tu takie rzecy gadam.

— Możecie być spokojni.

Więc te naczelniki od narodowców i powstania warszawskiego chcom takiej Polski jaka już była, a tamte Polaki z za Wisły zrobiły se w lubelskim innom Polske. Chłopom ziemi podobnież rozdali bez pieniędzy, robiom spółdzielnie. Panie, ja nie wim, jak tam jest, ale ze podobno zupełnie inne życie. Nic się nie poradzi, oni tu przyjdom i będom zmieniać. Tymczasem naród nie jest przygotowany. Jedne bedom słuchać tych, drugie tamtych. Pobijom sie jesce, zobocys pan. A wy profesory od przesło roku dobrze wicie, kto do nas pierwsy przyjdzie, a nie uczycie tego co być musi, czy pan chces czy nie. Opowiadacie jakby się wam podobało, a nie jak będzie. Myślicie se po pańsku.

— Co wy wiecie, o naszym nauczaniu...

— Oj, panie, dużoby o tym mówić. Przecie widzę co mój Gienek robi, chłopski syn. Kiedyś kazał Edkowi klęczeć i ucył go przysięgi na Sztandar Narodowy. Chłopak głupi, przejął się, bo to ładne słowa, ale powidz mi pan — kogo słuchać? kto im w partyzantce każe słuchać! Różne pany w elegancjkich butach.

A wy w szkole. Uczycie, ze byli wodze Żółkiewski czy Poniatowski, wielgie bohatery, za którymi wojsko łazło w ogień. Ale pan Gienkowi nie powi, że on jest Poniatowski ino, ze jest od słuchania.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Gospodyni wychodziła w czasie naszej rozmowy kilka razy na podwórze to po wodę, to znów gadzinę nakarmić. Przechodząc znowu, nie wytrzymała tym razem.

— Dzicie go! Jaki to polityk! Bidny profesur! Nacharuje się nad tymi leniami bez cały dzień, a tyn nie dość, że go do gnoju pcha, za kieratem każe chodzić, jesce mu wymyśla, że źle ucy. Ksiądz jegomość się pytajom, kiedy do spowiedzi przyjdzies! Boże Świnty, że tyż tyli czas da rade żyć bez Boga ten ancykryst! Spółdzielnie by ino zakładał, głupim chłopom jak som jest, albo Drzymek, dałby rządzić, panom zimie odbierać. Komunista jezdeś, wis? Czy tyż mu Pan Bóg to wszystko wybacy!

— Wybacy i podziękuje — odpowiedział Prot i poszedł wolno w stronę sadu obejrzeć ulubione jabłonie.

II.

Dom stał na wzgórzu przy drodze wijącej się wąwozem, nad którym zwisały wiśnie. W Protowym domu były dwa obszerne dwuokienne pokoje. Ale nawet jeden wystarczył na pomieszczenie dwudziestki chłopskiej młodzieży z trzeciej gimnazjalnej.

Mówiliśmy, w związku z budową anatomiczną rośliny, o potrzebie stosowania nawozów sztucznych. Wywiązała się żywa dyskusja na temat ilościowego zapotrzebowania różnych gatunków nawozów na przeciętne gospodarstwa. Chłopcy wykazywali dużą znajomość zagadnienia, a co więcej — zainteresowanie. Przerzucili dyskusję na sprawę technizacji i racjonalizacji gospodarstw, zasypując mnie rozmaitymi pytaniami. Przekonałem się nagle, że to jest właściwy nurt zainteresowań chłopskich. Było mi wstyd, że nie umiałem dać wyczerpujących odpowiedzi na pytanie o fabryki maszyn rolniczych, nawozów, problemu elektryfikacji wsi... Przy końcu lekcji padła z ust prymusa klasy niespodziewana uwaga:

— Przyszłe państwo polskie musi unormować stosunek cen artykułów rolnych do przemysłowych, żebyśmy chłopi nie byli, jak dotąd pokrzywdzeni. Powinny istnieć stałe punkty wymiany między rolnictwem a przemysłem, spółdzielnie albo inne instytucje.

Patrzyłem uważnie na mówiącego z niezwykłą powagą — Edka Stępnia.

Lekcja skończyła się. Chłopcy byli podnieceni i dumni, że się mówiło o ich sprawach i co ważniejsze — oni mówili.

Szedłem wolno drogą nad którą zwisały wiśnie i złociły się klony. W odległej o dwa kilometry wiosce, czekali na mnie licealiści.

Dopiero co miniona lekcja dała mi wiele do myślenia. Zastanowiłem się głębiej nad słowami Prota i doszedłem do przekonania, że miał on dużo racji. Dobór materiału faktologicznego, a przede wszystkim komentarycznego, szczególnie w naukach humanistycznych nie przystawał zupełnie do zainteresowań chłopskiej młodzieży i nie tylko, że jej nie wychowywał, ale wyrabiał w niej kompleks niższości.

Przypominały mi się uwagi prof. St. Zakrzewskiego w jego „Zagadnieniach historycznych". Pisał tam: „Dajemy (chłopskiemu) dziecku w rękę podręcznik historii polskiej, z którego się dowie, że co dziesiąty król był przyjacielem chłopów. A zresztą historię Polski robili szlachcice. A gdzież w tym wszystkim jedna strona taka, którąby chłopskie dziecko znało jako swoją i kochało od pierwszego wejrzenia, uczuło, że jest w swoim świecie".

Postacie wielkich, legendarnych hetmanów, które nieraz na lekcjach specjalnie wyolbrzymiałem, były dla moich chłopców niedoścignionymi wzorami wodzów, z którymi układali stosunki na zasadzie bezwzględnej podrzędności a w życiu przenosili ten stosunek na swoich, nie chłopskich, dowódców z partyzantki. Nie czuli tu własnej, równorzędnej roli.

Dzisiejsza lekcja pokazała ich jakby z innej strony. Zainteresowali się tym, co odpowiadało ich społecznej roli, szukali związku między nauką a swoją aktualną i przyszłą rolą w społeczeństwie.

Chłopcy wykazali, że nie można ich dalej kierować w strony dalekiego i obcego im ideału, ale trzeba nadać nauczaniu praktyczność zgodną z ich chłopskim rodowodem. Kochani chłopcy, jeszcze pewno dyskutują nad lepszą przyszłością swoich gospodarstw. Ileż to razy w plątaninie różnych dróg jest się bezwiednie na dobrej, a później się znów zboczy?

III.

Mróz ściął wodę w stawku za Protową stodołą, drzewa pokrył gęsty puszysty szron, że wygiądały jak białokwiecisty sad na wiosnę.

Kiedy się wyszło na górę, którą stary posiewał co roku koniczyną, słychać było daleki huk armat od wschodu. Wychodziliśmy tam nieraz patrząc ku nagłowickim lasom, ciągnącym się aż po Jędrzejów, do którego docierały podobno sowieckie czołgi.

Z różnych stron niosły się przez czyste powietrze wystrzały. Czasem terkotały gdzieś blisko karabiny maszynowe. To nasi partyzanci dezorganizowali zaplecze niemieckie. Wszystko to działo się przy monotonnym akompaniamencie tysięcy pojazdów niemieckich, wycofujących się szosą ku Zawierciu, smutno, bezładnie, w pośpiechu.

Był czas nadziei i zwątpień. Coś się popsuło w sprawnym dotąd mechaniźmie podziemnego ruchu. Jeden rząd jeszcze nie ustąpił, nadchodził już drugi wraz ze zwycięską ofenzywą. W sieci organizacyjnej krzyżowały się sprzeczne rozkazy. Jedno radio mówiło, żeby się oszczędzać i stać z bronią u nogi, drugie wzywało do akcji zbrojnej. Poszczególne grupy łamały coraz częściej rozkazy i biły w mniejsze zgrupowania wroga. Dla żołnierzy partyzanckich było oczywiste, że nadszedł czas uderzenia, na który czekało się przez lata. Jakże stać teraz z bronią u nogi?

Zwalczały się wrogie sobie choć bratnie propagandy. Orzeł z koroną walczył z Orłem bez korony.

We wsi gromadzili się chłopi, urzędnicy gminni i warszawiacy wyrzuceni po powstaniu z rodzinnego miasta.

Doktór zapowiadał straszne czasy dla inteligencji jeżeli „nasz rząd" tego nie załatwi, chłopom — kołchozy i odebranie własności. Słuchali w milczeniu. Tylko sąsiad Prota — Drzymek odpowiadał:

— To się jesce obacy...

Baby zapełniały kościółek, gdzie ksiądz odprawiał z nimi wspólnie modlitwy do Matki Boskiej. Chłopi wyprowadzali dobytek zdala od chałup...

Prot chodził po sadzie i doglądał chochoły na różanych krzewach. Czynił to ze zwykłym spokojem i powagą.

— Tak to i jest. Dziejom się wielgie rzecy, ale te małe i tak trza zrobić. A wy cóż? Uradziliście podobno z waszym dyrektorem założyć chłopskie gimnazjum w miasteczku, ino skopów diabli wezmą?

— Istotnie, mamy taki zamiar.

— I jakże będziecie tero uczyć? Casy idom inne.

— Wiedza nie zależy od czasów. Rozwija się niezależnie. Mimowoli jednak zacząłem rozmyślać o zmienionym kierunku nauczania. Należałoby naradzić się przynajmniej z kolegami naszej placówki oświatowej.

— Młody pan jesce. W szkole jest zawse tak, jak i w kraju. Pamiętam som, ze jak przed wojnom sedłem na te... wywiadówke do miasteczka o mojego syna, tego co to jest na emigracji i gdziesi we Włosech wojuje, to jagem posed do gimnazjum, to mnie woźny obrugał, że gnojem pachnę i nie bardzo chcioł wpuścić. A dlatego że tak było w szkole, jak z chłopami w Sejmie.

— Ale panie? Co taka ciso?

Rzeczywiście, cisza aż uderzała. Jeszcze przed chwilą grzmiały działa o kilka kilometrów pod miasteczkiem, gdzie miało powstać nasze gimnazjum, a teraz? Nie słychać nawet basowego grania samolotów. Stado wróbli przeleciało wśród przeraźliwego świergotu i obsiadło Protowe jabłonie.

— Chodźmy na trakt — rzekł wolno i dobitnie stary — może to... jus!

Wzdłuż traktu wiodącego ze wschodu na zachód stali ludzie. Prot skręcił papierosa, nastawił kołnierz od burki i czekał. Czekali wszyscy patrząc ku zawadzkiej górze.

Ta cisza była trudna. Chciało się, żeby już nadeszli. Niech się dzieje, co dziać się musi... byle by prędzej mieć już to wszystko za sobą. Od wschodu nadleciały samoloty. Na skrzydłach już nie czarne krzyże, ale czerwone gwiazdy. Nagle Drzymek szturchnął Prota w ramię i krzyknął:

— Dzicie somsiedzie? Nase lecom!

Błękitnym niebem przesunął się szybko srebrny samolot z biało-czerwonym kwadratem na skrzydłach. Zaraz też nadjechał traktem prowadzącym na zachód, duży pancerny wóz. Obsiedli go żołnierze w futrzanych czapach. Nikt nie wyrzekł ani słowa. Tylko Prot, nachyliwszy się ku mnie, powiedział cicho:

— Widzis profesor? To jest chłopski, ruski naród. Małe to i licho ubrane. Ale się spiesom. Widać majom po co. Cie, cie.

W kilka chwil nadciągnęły wielkie, ciężkie czołgi. Obok nich szła już bez przerwy piechota.

Obserwowaliśmy w milczeniu tych nieznanych nam jeszcze żołnierzy, nie umiejąc sprecyzować uczuć. Przeciw nim mówiły dawne lata ze starych podręczników historii. Teraz znowu mówi życie inaczej. Ale przeobrażenie pojęć nie następowało. A może to nie jest takie proste.

Z wielkiego czołgu zeskoczył młody oficer, podbiegł ku nam i rzekł czystą polszczyzną:

— Panowie! Nie róbcie wielkich oczu! To naprawdę czerwona armia. Dajcie co zapalić. Jak będziemy wracać z Berlina, oddamy wszystko.

Daliśmy mu posiadane papierosy. Za chwilę rozdzielał je żołnierzom na wielkim czołgu...

IV.

...Na zachód od wsi, gdzieś przy kroczyckich skałach rozgorzała bitwa. Szliśmy wolno wąwozem ku górze. W przodzie Prot z Drzymkiem, my — nauczyciele za nimi, coraz bardziej niepewni, jakie projekty zmian wychowania w gimnazjum chłopskim wnieść na mającej się odbyć konferencji.

...W chałupie — jak zwykle, gwarno było i duszno. Baby obsiadły rzędem ławy, przędły, gadając bez przerwy.

— Jeden oficyjer, uśmiechnął się, szylma, do mnie. Cóż, młoda jezdem, ino mnie Bóg tym starym kuternogą pokarał. Ze go tys sołtysem zrobili! Tak się tym pyśni, jak tyn Hitler na początku wojny— perorowała sołtysina.

— Cy tys pozwolom tero na msze świntom — pytała Procina. — Mój to się ta tym nie martwi, ino się ogląda, cy się co zmieni, cy mu będzie wreszcie lepi. Nie lepsego mom chłopa niż wy sołtysino.

— Cóż gadacie, przecież nie stary i krzepki. Jesce te rzecy potrafi.

— Cóż z tego, kiedy se o tym przepomina.

Nie potrafiliśmy ustalić wskazówek wychowawczych na zjazd dwudziestukilku pedagogów z całego tajnego gimnazjum rozrzuconego po wsiach dwu powiatów. Rzecz była zbyt nowa. Zresztą mieliśmy szereg wątpliwości, które pozwoliły tę trudną sprawę odłożyć. Więc najpierw, czy dostaniemy pomagnacki pałac na gimnazjum, czy wieś je zechce w ogóle mieć, czy pomoże przy urządzeniu? A może ten lubelski rząd nie pozwoli otworzyć gimnazjum? I wreszcie nie wiadomo nadal, którego rządu słuchać. Szukaliśmy jeden przez drugiego, coraz to nowych wątpliwości.

Drzymek i Prot słuchali co mówiliśmy, wreszcie mój gospodarz rzekł:

— Gimnazjum, to my zrobimy. Mamy duzom skołę powszechnom, co my jom jesce przed wojnom zbudowali za posła Ledwocha, to teraz musimy mieć i gimnazjum, żeby nam się dzieciska po świecie nie rozłaziły i nie trza było tyle płacić. Od szkoły powszechnej do gimnazjum gościniec musi być niedaleki i gładki. Dobze gadom Drzymku?

— Dobrze gadacie somsiedzie. Przepijmy do siebie. Ino, żeby znowu nie było Polski od piknego gadania.

— Eee.. cóż Drzymku mówicie. Teraz już nie powinny różne agitatory jeździć na wieś za wyborami i obiecywać, jak Witosowi — gruszki na wierzbie. Będziemy gadać sami za siebie.

c. d. n.

Maciej Czuła

Jak to w austriackiej armii kształcono na rolników

Osobliwe kategorie chłopów stanowią tak zwani chałupnicy, z domkiem i jedną lub dwie ma morgami gruntu. Są oni we wsi mniej więcej w takim stosunku do bogatych gospodarzy, w jakiej bywał szlachcic chodaczkowy do magnata w Polsce. Stara się być jego cieniem i odgadywać jego myśli, jest we wszystkim od niego zależny. Któż by mu bowiem na przednówku sprzedał miarkę zboża czy korzec ziemniaków, kto by mu zaorał grunt pod zasiew? Dlatego głosuje chałupnik przy wyborach na sołtysa, wójta czy przysiężnego, na swojego zamożniejszego sąsiada sam pozostając zawsze tylko chałupnikiem.

W takim zdaje się położeniu byli i moi rodzice, właściciele dwu morgów pola i domku, krowiny, prosiątka itd. Coś niby znaczyli we wsi, ale nie tak wiele, żeby ich proszono za starostów na wesele i kumów na chrzciny, bo ten za nich zaszczyt pełnili inni bogatsi i zasobniejsi. Przy wyborach do rady gminnej ojciec też dostał 5 — 8 głosów na radnego, ale ponieważ do wyboru potrzeba było głosów 12 — ojciec nigdy radnym nie został. Każdy wyborca wolał w ostateczności dać kreskę bogatszemu niż biednemu, bo w cieniu tamtego miał nadzieję jakoś się uchować. Nie wiem czy rodzice chałupników zdawali sobie z tego sprawę, że na tym upokorzeniu cierpiały najwięcej ich dzieci też wszędzie na równi z ich rodzicami nie doceniane, a nawet i poniewierane. Czy to było na nauce religii, na lekcji w szkole, czy na drodze—ksiądz, nauczyciel, czy gospodarz zawsze prędzej huknął na biednego, niż na syna bogatych rodziców, prędzej też biedny, niż bogaty dostał w skórę. A cóż za upokorzenie było, gdy się wyganiało bydło w pole, lub szło się do szkoły! Dzieci bogatszych rodziców poganiały sobie z dumą kilkoro bydła, gdy syn chałupnika z upokorzeniem poganiał za nimi jeden jedyny odpowiednio wychudzony „krowi ogon". A w szkole zamiast chleba z masłem, albo z kiełbasą, jakie mieli tamci, musiał nieraz na pauzie przegryzać, chlipiąc łzy, pieczony bób lub groch, albo najwyżej sam suchy jałowy chleb. Nic dziwnego, że podobny zawód rolnika, jakim był mój ojciec, nie uśmiechał mi się bardzo. Żółtodziób jeszcze byłem, żebym jakieś uwagi w kierunku lepszej gospodarki miał wtrącać rodzicom do rozmowy. Na małych czytankach, jakie urządzał w mojej wiosce Grobiu lustrator kółek rolniczych p. Tatora — omawiał potrzebne wprowadzenie należytego płodozmianu, lepszej uprawy zbóż i łąk, pielęgnowanie drzew owocowych, chów bydła itd.—cóż, skoro nie bardzo można było wszystkie doświadczenia przeprowadzać z powodu braku odpowiedniej ilości ziemi. Nauka o rolnictwie zaprzątnęła mi jednak głowę, chciałem coś pomóc w tym kierunku rodzicom, ale ani sam w gospodarstwie nic nowego nie umiałem, ani rodzice nie byli, jako ludzie starej daty do jakichś postępów zdatni. Obiecywałem sobie tylko, że jak podrosnę, udam się choćby pieszo i daleko do jakiejś szkoły rolniczej na naukę. Pojmowałem, że rolnictwa, jak innego rzemiosła, uczyć się trzeba! Ale o żadnej nauce w moich opłakanych warunkach nie mogło być mowy, nie rozumieli się na tym rodzice, a sam cóż mogłem bez pomocy zrobić? Wytrwałem tylko do 18 lat na wsi — marnując na ziemi część młodości, po czym prawie że uciekłem w świat na naukę, a często na poniewierkę. Byłem synem ziemi, krążyła mi chłopskość i umiłowanie pracy na roli „we krwi", to też gdzie się znajdowałem: na Bukowinie, Morawach, Czechach i Niemczech podpatrywałem sposób gospodarowania tamtejszych rolników włościan, notując sobie w głowie najlepsze metody pracy na roli i najlepszy jej wszędzie wynik. Miałem bowiem ochotę wrócić na wieś i zapoczątkować w niej postępowe i najlepsze sposoby gospodarowania, żeby porwać za sobą świetniejszych gospodarzy i założyć nową postępową gospodarczą wieś! Niestety! gdy już miałem swoje zamierzenie zamienić w czyn, dowiedziałem się, że rodzice cały swój szczupły majątek zapisali siostrze, mnie zostawiając małoznaczny spadek. Z tą chwilą nie miałem poco na wieś wracać, bo przecie żadna porządniejsza wiejska dziewoja nie oddała by mi ręki, a ożenić się z córką komornika czy fonala jakaż dla mnie byłaby na wsi przyszłość? Ruszyłem znowu w podróż po świecie, nie obce mi były najcięższe prace, ni głód czy chłód, a udało mi się wypłynąć w Redakcji „Wieńca-Pszczółki" przy boku ks. Stanisława Stojałowskiego. Niedługo jednak ks. Stojałowski zmarł (w r. 1911); mnie powołano do austriackiego wojska, a po dwu latach i na wojnę, która wybuchła jak wiadomo w r. 1914. Wyruszyłem w pole z 13 p. p. „Krakowskich Dzieci". Ponieważ w lipcu 1916 r. zostałem ciężko ranny, musiano mnie wywieźć do szpitala, a po względnym wyzdrowieniu Komenda Szpitala—w myśl wskazówek władz wojskowych, odesłała mnie do wybraniu sobie celu szkolenia i zawodu do Szkoły Rolniczej w Zabrzegu n/Odrą (Morawy) na 6-miesięczny kurs rolniczy dla inwalidów wojennych.

Wykłady miały stać na pewnym, dość wysokim poziomie i z urozmaiconym programem nauki, cóż, skoro uniemożliwił ten program brak wszelkiego inwentarza żywego, zajęć praktycznych, zapuszczony chwastami ogród, a przede wszystkim nieodpowiedni dobór sił nauczycielskich. Większość uczniów nic, albo bardzo mało korzystała z nauki, bo na wpojenie jakichś ważniejszych wiadomości w uczniów i wykładowcom nie zależało. Wygłaszali przemówienia z zegarkiem w ręku, odrabiali pańskie, po czym robili w tył zwrot i uchodzili do domu. Co do mnie, to starałem się najpierw opanować czeski język, a gdy mi się to niedługo udało, zacząłem i z nauki korzystać bardzo wiele. Nie ograniczałem się przy tym do samego słuchania wykładów, ale przerabiałem materiał i zadania w domu, starając się opanować wszystko pamięciowo.

Wysiłki moje nie poszły na marne, to też kiedy skończyłem szkołę i wróciłem w rodzinne progi, zdobyłem niedługo i posadę w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym jako instruktor rolny. Po pewnym czasie zauważyłem jednak w mojej pracy duże braki, przysiadłem zatem jeszcze dwa tygodnie fałdów ubrania, obłożyłem się książkami, po czym już wygłaszałem prelekcje rolnicze jak z nut wzbudzając niekiedy zazdrość u innych agronomów, którzy byli bez wątpienia odemnie uczeńsi, ale brakło im niekiedy energii, rzutkości, a może i swady. Z tych czasów (1923) poznałem w Małopolsce zachodniej a po części i w Królestwie szereg szkół rolniczych wyższego i niższego typu. Średnich szkół rolniczych zwiedziłem dwie: w Czernichowie koło Krakowa i w Suchodole koło Krosna. Była też Akademia Rolnicza w Dubianach, ale tej nie mogłem poznać. Znanej w Królestwie szkoły rolniczej w Pszczelinie nie udało mi się poznać, niejmniej gdy zjawiłem się w jakiejś wsi z odczytem i pytałem się o człowieka mądrzejszego, albo ze szkołą rolniczą we wsi, zawsze wskazywano mi wtedy jakiego „pszczeliniaka", t. j. ucznia szkoły rolniczej w Pszczelinie, jako tego, który mi może dać wszelkie potrzebne wyjaśnienia o stanie rolnictwa w danej okolicy czy powiecie.

Byłoby bardzo pożądane, żeby chłopi kierowali swoje dzieci — po ukończeniu gimnazjum — do średnich i wyższych szkół rolniczych, dzięki którym chłop osiąga specjalizację w swym zawodzie.

„Trzeba zapalić kogoś"...

W tygodniku społeczno - literackim „WIEŚ" z dnia 23 marca rb. Nr. 12 (91) na str. 7 spotkaliśmy się z dość ciekawym artykułem p. t. „LIST z KIELECCZYZNY", którego autorem jest obywatel Jan Zieliński.

W treści między innymi poruszane są sprawy gospodarcze regionu, które dotyczą prac naszej placówki, a mianowicie:

„Moc ziemi Kieleckiej płynie z jej lasów. Przetrzebionych, poszarpanych jak Warszawa przez zbrodniarzy hitlerowskich, ale ostałych i spokojnie szemrzących swe modlitwy za przeszłość i o lepszą przyszłość. U stóp drzew — bogactwo owoców leśnych, jagód i moc grzybów. Trzeba nam o tym mówić, trzeba zapalić kogoś... by zechciał zmobilizować energię społeczną i stworzył warunki eksploatacji tych bogactw — darów natury."

„Tak istotnie jest. Człowiek kształtuje rzeczywistość. I człowiek stanowi najistotniejsze, największe bogactwo. Człowiek Ziemi Kieleckiej w chwili obecnej jest jej największą mocą, największą siłą".

Niniejszym pragniemy sprostować niezgodność treści przytoczonego wyżej ustępu ze stanem rzeczywistym, a zarazem pragniemy aby nasze wyjaśnienia stanowiły niejako informację dla szerokich mas wsi, czytelników tygodnika społeczno - literackiego „WIEŚ".

Niezwłocznie po wyzwoleniu znaleźli się ludzie „zapaleni... zmobilizowali energię społeczną i stworzyli warunki eksploatacji tych bogactw — darów natury", bo oto „zapaleni", w wielkich trudach zorganizowali na terenie Kielc (z terenem działalności na pow. Kielce, Stopnica, Busko, Pińczów i Włoszczowa) Spółdzielnię p. n. Spółdzielnia Ogrodnicza i Zbiór Roślin Leczniczych z odpow. udz., której zadaniem m. innymi jest:

1) podniesienie kultury ogrodniczej na terenach objętych statutem;
2) szkolenie nowych kadr fachowców w tej nowej dziedzinie naszego życia gospodarczego;
3) skup jagód, ziół leczniczych, grzybów, ich przetwórstwo i zbyt.

Spółdzielnia posiada 184 członków — zadeklarowanych i wpłaconych udziałów 245. Na stosunkowo małą liczbę członków, składa się wiele przyczyn:

1) tego typu spółdzielnie nie były znane naszemu społeczeństwu;
2) wątpliwość czy tego rodzaju spółdzielnia wytrwa z uwagi na:
   a) specyficzną branżę — trudną do prowadzenia;
   b) brak zaplecza terenowego, sadów i warzywników (zniszczone tereny przyczółkowe);
   c) brak pomieszczeń szczególnie dla tego rodzaju branży objętościowych;
   d) brak wykwalifikowanego personelu;
   e) brak środków lokomocji;
3) małe uspołecznienie społeczeństwa wogóle, a w szczególności mała znajomość i niedocenianie wartości roślin leczniczych.

Wszystko to stworzyło pewną rezerwę opinii w stosunku do organizującej się i szybko rozrastającej się Spółdzielni. Dzisiaj już lody przełamane, zaufanie zdobyte, a za dowód niech służy fakt, że Związek Ogrodniczy pow. Kielce, wraz z członkami przystąpił na członka naszej Spółdzielni.

Istotą sprawy jednak jest, co zrobiliśmy w okresie istnienia spółdzielni i do czego zdążamy w zakreślonych planach.

I oto:

Ilość zebranych owoców leśnych

Rok:	jagód:	grzybów:	ziół leczn.:	Ogólne obroty łącznie z owoc., warz. i przetwórstwa:
1945 od 18. 7. 45 r. do 31. 3. 46 r. =	4.500 kg	1.350 kg	1.650 kg.	1.320.000 zł.
1946 od 1. 4. 46 r. do 31. 3. 47 r. =	80.000 kg	2.370 kg	350 kg.	8.276.000 zł.

Na ogólnopolskiej wystawie Spółdzielczości Ogrodniczej w Łodzi w 1946 r. Spółdzielnia nasza otrzymała I nagrodę za zioła, grzyby i jagody oraz przetwory z nich.

W bieżącym sezonie pragniemy pracę naszej Spółdzielni rozwinąć, sięgnąć głębiej w teren, dla lepszego skorzystania z owoców, warzyw i runa leśnego.

Posiadamy komplet urządzeń przetwórni ogrodniczej z UNRRA, którą otrzymaliśmy w nagrodę za mrówczą pracę w każdej dziedzinie naszej branży.

Lecz i tu przeszkody, niestety...

Żadną miarą nie możemy otrzymać potrzebnych lokali, chociaż staramy się od 2 lat, odbiera się Spółdzielni nawet te pomieszczenia, których jeszcze dzisiaj jesteśmy prawnymi posiadaczami. Tak nam zabrano lokal na przetwórnię.

Wie o tym Zarząd Miejski, wie Wojewoda, wie Związek Rewizyjny, Zarząd Główny i Okręgu Kieleckiego w Radomiu, wie Ministerstwo Aprowizacji i Handlu, wie Min. R. i R. R., wie również Państwowa Rada Spółdzielcza. I nic...

Kto nam pomoże?

A tymczasem pozwolimy sobie na żartobliwą parafrazę:

„Trzeba nam o tym mówić, trzeba zapalić kogoś... by zechciał zmobilizować energię społeczną i stworzył warunki, aby nie przeszkadzano pracy Spółdzielni Ogrodniczej i Zbioru Roślin Leczniczych dla eksploatacji tych bogactw — darów natury".

Ślemy spółdzielcze pozdrowienia.

ZARZĄD.
SPÓŁDZIELNIA
Ogrodnicza i Zbiór Roślin Leczniczych
w KIELCACH

Kłudno—wioska mała

Wioska nasza nazywa się Kłudno, leży ona rozciągnięta mniej więcej na przestrzeni 1-go kilometra, w zachodniej części pow. radomskiego. Ludność zamieszkuje ją narodowości polskiej i wyznania rzym.-kat., trudni się ona wyłącznie rolnictwem i to tylko na małych gospodarstwach (od 2 do 3 ha ziemi). Wyjątkowo jest parę większych, które liczą około 10 ha, ale jest ich niewiele. Ziemia nasza znajduje się w szachownicy co jest u nas najgorszą bolączką. Nie ma prawie żadnego gospodarstwa nawet które liczy 2 ha, żeby nie znajdowały się w 6 — 8 miejscach działki szerokości 2 — 3 m, a ciągnące się wzdłuż 1 i pół km. co najmniej. Więc proszę sobie wyobrazić jak można racjonalnie gospodarować, gdzie 1/8 pola jest zajęta przez bruzdy i miedze i czy w takiej gospodarce można ułożyć płodozmian.

A przez to jak każdemu wiadomo ile to jest sporów i kłótni o te miedze, bo naprzykład jeden rozoruje, drugi znów zaoruje, więc mu coś uskrzybnie, bo mu się zdaje, że skiba poleciała na sąsiada. Ten nie daje i odbywają się kłótnie i spory, a często dochodzi do bójki krwawej, a przyczyną tego jest rozdrobienie i szachownica.

Ziemię mamy na ogół średnio urodzajną, przeważnie bielice, wyjątkowo kawałkami o podłożu gliniastym. Trudno jest gospodarować na takiej gospodarce, bo przecież nie można ułożyć żadnego płodozmianu racjonalnego, ani założyć sadu, który tak dziś daje dużo korzyści rolnikowi. Jak się wsadzi jeden rządek drzew to z czasem gałęzie będą zwieszały się na sąsiada, skąd znów może być nienawiść i niezgoda.

To też na ogół ludność u nas żyje skromnie. Dzień nie jest jeszcze taki duży, ale niektórzy to i w ten sposób zaoszczędzają na żołądkach, że gotują tylko dwa razy dziennie, aby zaoszczędzić tylko tych kartofli, co są u nas na porządku dziennym.

Z opałem jest też bardzo krucho, bo nie ma gdzie kupić i większe lasy są od nas daleko. Węgla też nie sprowadzają i daleko po niego jechać, bo około 30 km. Z początku trudności mieliśmy i ze szkołą powszechną, która znajduje się w naszej gminie, bo nie było personelu nauczycielskiego. Ale jakoś nauczyciela nam przydzielono i rok, choć z opóźnieniem zaczął się. Dzieci uczęszczają, bo rodzice rozumieją, że bez oświaty nie ma postępu, choć by nawet i w rolnictwie. Trudności są duże, bo się opłaca jak u nas od dziecka 100 zł. miesięcznie. Najgorzej jak gdzie z jednego domu chodzi 3 lub 4. To jest dość duża opłata, ale każdy jak może tak się wywiązuje z opłatami. Uzupełnia się i w naturze, bo pragniemy, aby nasze dzieci coś się nauczyły.

Dzieci udając się do szkoły ubierają się niektóre w palto ojca, matki lub starszego brata, a niektóre jak mają bliżej to i tak przelecą na letniaka, bo nie mają w czym. Dużo dzieci chodzi w drewniakach bo nie mają butów, byle zaczerpnąć tej wiadomości, jaka jest niezbędna każdemu obywatelowi.

Tak chciałem pokrótce scharakteryzować wioskę, która liczy około 90 zabudowań. Ale przypuszczam, że może to wszystko jakoś wyprowadzi się na dobre, może niedługo nasze pola zostaną skomasowane, że będziemy mogli lepiej gospodarować.

Józef Mazurkiewicz

wieś Kłudno, gm. Wieniawa, pow. Radom

SPROSTOWANIE

Szanowny Ob. Redaktorze!

W artykule moim p. t. „Wspomnienie o Wincentym Kuglinie" drukowanym w numerze 17 (96) „Wsi" proszę o sprostowanie następujących pomyłek drukarskich:

Szpalta pierwsza, wiersz 33-ci od dołu — zamiast niedostępną towarzyszką, powinno być — **nieodstępną towarzyszką.**

Szpalta trzecia, wiersz dziewiąty od góry — zamiast: O, Andersie, po co bajki? powinno być — **O, Andersenie, po co bajki?**

Józef Andrzej Frasik.

W OSTATNIM, 18 (97) NUMERZE „WSI"
Z dnia 1—4 maja 47 r.:

Tadeusz Papier — Kronika fabryki; **Anna Kamieńska** — Nowa biesiada; **Zygmunt Sierp** — Odpust; **Jan Aleksander Król** — Droga do „półkolonii"; **Bronisław Kamiński** — Na emigracji; **Bronisław Marcinek** — Rewizja; **Józef Morton** — Butki; **S. A. Pieniążek** — Płoty kamienne i opuszczone farmy; **Marian Dabrowa** — W poszukiwaniu tradycji; **Wacław Szymanowski** — Upowszechnienie wyższego szkolnictwa; **Klemens Oleksik** — Dwór rozparcelowany; **A. F. Kirło-Nowaczyk** — Dzieje pewnej przyjaźni; **W. Próchnicki** — Bolączki gminnych szkół rolniczych; **Seweryn Skulski** — O książkę i czasopismo; ogłoszenia, 2 ilustracje. 8 stron.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI WYDAWNICTWA KSIĄŻNICY — ATLAS WROCŁAW WARSZAWA 1947 r.

S. Czerny et F. Jungman — Bon Sourire et en avant, str. 155

Jan Cieśliński et Leon Koźmiński — La France au travail, str. 227

St. Malec i W. Werner — Fizyka, dla II klasy gimnazjalnej (dawniej III) wydanie III. str. 193

Stefan Baley — Psychologia Wychowawcza w zarysie, wydanie drugie nie zmienione str. 686.

Schabowski Czesław — Tama; powieść St. Jamiołkowski i T. J. Evert, sp. z o.o. Łódź, 1947.

WYDAWNICTWA INNE:

Proces Ludobójcy Amona Goetha, **wyd. Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej,** Kraków, Łódź, Warszawa — 1947, str. 514.

H. Radlińska — Oświata dorosłych. Wyd. Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury. Warszawa 1947 r.

Administracja tyg. „Wieś" w związku z podwyżką ceny papieru jest zmuszona podnieść cenę numeru do 10 zł. W związku z tym podwyższona została prenumerata.

PRENUMERATA „WSI":

miesięcznie	**40 zł**
kwartalnie	**120 zł**
półrocznie	**240 zł**

Należność należy wpłacać przekazem pocztowym na konto Nr PKO VII-1080.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30 000, 1/4 kolumny zł. 15.000 1/8 kolumny zł 8.000, 1/16 kolumny zł 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96 I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Zwirki 2. D — 015775